

po prostu

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie (2)

ZAMIAST RECEPTY

Wasz artykuł przeczytałem z obrzydliwą. Po co krytykujecie kiedy to i tak nie da? Przecież to stare rzeczy, dobrze znane. I co z tego, że mówicie o tym jeszcze raz? Czy coś się zmieni?

Jest to fragment anonimowego listu, który nadszedł do redakcji po opublikowaniu pierwszego artykułu z cyklu „II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie”. Autor tego listu nie tylko zresztą on, żąda od nas „pozytywnego programu”. Krytykować umiecie, to bądźcie tacy mądrzy i powiedzcie co dalej robić.

Nie jesteśmy ani powołani, ani przygotowani do opracowania pełnej i szczegółowej koncepcji pracy organizacji zetempowskiej na wyższych uczelniach. Tym wszystkim więc, którzy pytają: jak, co, kiedy i ile odpowiadamy: recepty nie będzie. Spróbujemy natomiast „głośno pomyśleć”. Przekazujemy wam nasze refleksje zapraszając równocześnie: pomyślcie razem z nami.

MYDŁO... CZY WYCHOWANIE?

„Rzecz najważniejsza dla nas? To proste. W fabryce naczelnym zadaniem jest produkcja. U nas produkcją jest nauka. W fabryce o produkcję walczy się drogą współzawodnictwa, dyscypliny pracy, dążeniem do obniżki kosztów własnych itp. Współzawodnictwo jest u nas nieaktualne, obniżka kosztów też, pozostaje więc walka o dyscyplinę studentów”.

Takie rozumowanie przedstawił nam jeden z aktywistów wrocławskich. Fabryka produkuje mydło lub samochody, a uczelnia... ludzi-fachowców, przyszłych kierowników. A więc cały system szkoły wyższej powinien być nastawiony na wychowanie. Na kształtowanie konkretnych cech umysłu i charakteru. Wychowywać trzeba przede wszystkim w konkretnym działaniu. Cóż to jest konkretne działanie w szkole? Składają się na to dwa zespolone ze sobą procesy: nauczanie i praca naukowo-badawcza. I poprzez te dwa procesy trzeba przede wszystkim wychowywać studentów.

Uczelnia ma konkretny cel wychowawczy. Zaryzykujemy tutaj twierdzenie, że celem tym jest wychowanie człowieka gotowego do samodzielnego życia. Wydaje nam się, że jest już najwyższy czas, abyśmy sobie to pojęcie dokładnie rozszyfrowali.

Najpierw truizmy. A więc człowiek gotowy do życia — to czło-

wiek, który będzie chciał i umiał budować u nas komunizm. To znaczy człowiek o określonym marksistowsko-leninowskim światopoglądzie i określonych, wysokich kwalifikacjach zawodowych. Czy tylko?

Sprawa nie jest taka prosta. Jak się okazuje w praktyce — budowanie socjalizmu nie jest łatwe, a przeciwnie — skomplikowane i trudniejsze niż nam się wydawało. I choć umiemy określić podstawy socjalizmu w tonach stali i węgla, w zbiorach z hektara, ilości nowych budynków mieszkalnych i łóżek

są tym papierkiem lakmusowym wartości człowieka. Nie łatwo jest iść prosto w labiryncie problemów i problemów jakie przynosi życie na dalekiej prowincji.

Ten papierek lakmusowy dał nam w wielu wypadkach niespodziewane wyniki. Ludzie, o których nierzadko sądziliśmy, że są zdecydowanymi marksistami, uginają się i załamują. Co więcej, konstatujemy, u poważnej grupy młodych inteligentów — i tych, którzy ukończyli studia i tych, którzy studiują — recydywę ideałów drobnomieszczańskich, przejawiających

wagi, która wypływałaby z cech dla każdego człowieka, a już w szczególności dla ludzi wykształconych niezbędnej — z samodzielnosci w myśleniu i wyciąganiu wniosków. Nauka samodzielnosci myślenia — to również dla organizacji sprawa zasadnicza. W wyższych uczelniach dysponujemy poważnym orężem rozbudzenia umysłów — pracą naukową - badawczą. Oręż często słabo lub nawet wcale nie wykorzystywany (popatrzmy np. na nasze koła naukowe).

A z tego znów wynika ważki wniosek: główna, zasadnicza praca wychowawcza w dziedzinie rozbudzania umysłów spadać winna na profesorów i młodszych pracowników naukowych.

Ogromna większość pracowników naukowych zgadza się obecnie z twierdzeniem, że ich zadaniem jest również wychowywać studenta a nie tylko go uczyć. Nie zawsze jednak rozumieją na czym ich rola wychowawcza polega. Rozmawialiśmy na ten temat z jednym z profesorów, astronomem. Jest to już człowiek starszy o poważnym dorobku naukowym.

— No cóż — mówił — chodziłem dwa razy do domu studenckiego, ale wierzcie — było mi jakoś głupio. Mówiłem, że „akademik” to ich dom, że powinno być czysto, że trzeba się uczyć, że nie należy pić wódki i co z tego? Czułem się jak bym włożył za ciasne buty, a i studenci byli mocno skrepowani i czekali tylko, kiedy przestanę ich nudzić.

Jednocześnie profesor skarżył nam się, że wielu studentów chce zmienić kierunek studiów i że wśród młodzieży w ogóle jest mało zainteresowanie jego specjalnością.

Czy chodzi o taką pracę wychowawczą profesorów? Oczywiście

(Dokończenie na str. 6)

W NUMERZE:

W. OBRUCZEW — Moim młodym przyjaciółom

JERZY CWIERTNIA — Pała niespełnionych tęsknot

JEREMI STRACHOCKI — Akropolis i żyletki

STANISŁAW MANTURZEWSKI — W zaklętym kręgu drętwej mowy (1)

JÓZEF LENART — Szkice z natury

Nr 35 (344)

30. X. 1955

Cena 35 gr

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Młoda Gwardia

Rzecz globu — toczyć się bystro.

Płynąć — to wody rzecz.

A rzecz — młodych gwardzystów — naprzód galopem

biec.

Dreptanie w miejscu — dla starych.

Z czerwonym sztandarem — śmiało!

My komsomolskim

taranem —

naprzód! Lecz tego za mało.

Pułkami po półkach z książkami, by liter gąszcz sprawało.

Myśli siejemy, zbieramy.

Naprzód! Lecz tego za mało.

Szczyt granitowy najwyższy przesadź brawurą zuchwałą. Świeżym uczuciem — myśli

zagrzewaj! Lecz tego za mało.

Dywanem ziemię poź niebo —

moli wytrzepiesz zeń

ty! Rozkaz — bardziej na lewo

pędzić wszechświata bryle.

Przełożył LEOPOLD LEWIN

NIEPOKÓJ SUMIENIA

BARBARA SEIDLER

dobrze, jak się to stało, że dwa lata temu wyłudował z przydziałem pracy w N.

Gdy kończył medycynę w 53 roku, koledzy na akademii mówili:

— Może nawet nie taki zdolny, tylko kujon.

Nieco inny sąd mieli profesoro-

wie;

— Ma lekką rękę, będzie z niego świetny chirurg.

Gdy dostał dyplom lekarza, konieczne chciał się zacząć w którymś z warszawskich szpitali. Ale nie wyszło. Zabrakło znajomości, no i ten haczyk w ankiecie też mu się przysłużył. Bo Byrski wyleciał z partii. „Za bierność, za brak udziału w życiu politycznym i społecznym” — tak określił to pierwszy sekretarz referując jego sprawę na zebraniu. Byrski nawet nie próbował się bronić. Może to i lepiej? — myślał — zebrania spadną mi z głowy, przestanę się czepiać. Bo Byrski — wiedzieli o tym najbliżsi przyjaciele — wstąpił do partii tylko po to, żeby utworzyć sobie drogę na medycynę. W pierwszych latach po wojnie na wydziale medycyny był owczy pęd. Jacek Byrski też złożył papierę. Zdał nawet nienajgorzej, ale wywiesili go na listach nie przyjętych z powodu braku miejsc. A Jacek chciał konieczne studiować i to nie na żadnym innym wydziale tylko właśnie na tym. Rok, który stracił, postanowił wykorzystać inaczej. Nawet sprytnie się urządził. Zaczął pracować w pogotowiu jako noszowy. Nie bardzo się do tej pracy nadawał, bo za silny znów nie był, ale na dyżury wytrwale biegał. No i właśnie w ciągu tego roku wstąpił do partii. Przyjęto go w poczet kandydatów. Ojciec ślusarz, matka krawcowa.

Ojciec, sparaliżowany staruszek, siedział cały dzień na bujającym fotelu i uragał żonę, Jackowi, Wandzie. Wanda, starsza i jedyna siostra Jacka, robiła urzędniczą karierę w którejś z rozrastających się w Warszawie instytucji i przed biurowymi kolegami nie przyznawała się do mieszkania na peryferyjnej prakkiej ulicy, nie przyznawała się do ojca — starego, sparaliżowanego ślusarza. Dom utrzymywała matka, tęga ruchliwa kobieta z koczkiem siwych włosów na głowie. Zarabiała

krawiectwem. Szyła nienajlepiej, ale dla praskich sąsiadek wystarczało. Znosiły jej materiały: kretony i barachany, a ona od rana do nocy terkotała na maszynie, zagluszając ciagle uraganie starca.

Jacek nie znosił domu. Jeden pokój, ten stary i jeszcze maszynal... Uciekał do kolegów, szwendał się ulicami lewobrzeżnej Warszawy, bo Pragi nie lubił, zawsze traktował ją jak wgardzoną przedmieście wielkiego miasta.

W następnym roku Jacka przyjął na medycynę. Rzucił pogotowie, zagrzebał się w książkach. Siedział teraz wieczorami w domu z głową wciśniętą w ramiona, z palcami w uszach. Najczęściej w kuchni, żeby nie słyszeć ojca i maszyny. A maszyna coraz częściej stawała. Matka kaszlała, chwylała się za piersi.

Byrski uczył się zapamiętane. Chciał jak najprędzej dobrnąć do tytułu „doktora”, do pozycji w społeczeństwie. Myślał o mieszkaniu w Warszawie, wygodnym mieszkaniu z kredensem i kryształami, o gabinecie lekarskim, o dostatnim życiu.

W pierwszych dniach września 53 roku na imieninach Stefana zgadł się z Kutrzebą. Kutrzeba już dwa lata siedział na przydziale w N. — Szpital dobry — mówił — dyndator to świetny chirurg, dużo się przy nim można nauczyć. Szkoła, do operacji dopuszcza. A pora tym, wiesz Jacek — Kutrzeba siedział z kieliszkiem wina w rogu łazienki — tu się nie możesz niedostatecznie, z partii cię wyleli... Idź na komisję, poproś o przydział do N. Dadzą ci chętnie. To prowincja, lekarzy potrzeba. Jeszcze pochwalą za „pozytywny stosunek do dzisiejszych potrzeb”. Pobędziesz ze trzy lata, a przez ten czas zarobisz sobie, ożkujesz się. Ja już stamtąd niedługo wyjeżdżam, ale mogę ci jeszcze pomóc się urządzić. Nie będziesz żałował, zobaczysz. Tu, co? Pójdiesz do szpitala i dostaniesz 900 zł. całe lata będziesz popychadłem. W N., jak się postara — wyciągniesz trzy

(Dokończenie na str. 7)



ULICZKA W PNIEZOWIE

rys. Jacek Siennicki

MOIM MŁODYM PRZYJACIÓŁOM

W. OBRUCZEW
Członek Akademii Nauk ZSRR

Bardzo dawno temu — przed siedemdziesięciu laty — kiedy byłem studentem, nie mieliśmy ani pałaców, ani ośrodków sportowych. Biedni studenci wynajmowali skromne pokoiki. Aby je opłacić i kupić książki, obuwie, ubranie, trzeba było biegać na korepetycje, wbić do głów leniwych synaloków kupców i urzędników zasady ortografii i ułamki.

...Mówimy o zasługach naszych wielkich poprzedników. Nie są to wasze zasługi. Nie wy odkryliście prawo zachowania materii, nie wy poznaliście ciśnienie światła, nie wy zbadaliście budowę komet i nie wy stworzyliście chemię białka... Zdobycze wielu lat męczących poszukiwań zapisywaliśmy podczas wykładów do swych zeszytów. Wielcy poprzednicy dźwignęli was wzwyż na swych ramionach, macie znacznie szersze horyzonty, wiecie o wiele więcej, niż wiedzieliśmy my przed siedemdziesięciu laty. Otrzymaliście tę wiedzę w spadku. Czym odpłacić za ten dar?

Komu wiele dano, od tego wiele się wymaga. Moje pokolenie otrzymało znacznie mniej aniżeli wy. Za moich studenckich czasów nie było radia, nie mówiąc już o telewizorach... Nie było jeszcze elektrowni, a żarówki elektryczne dopiero się pojawiły. Wszystko to stworzyli uczeni minionych pokoleń. Wy należycie do nowego pokolenia, które już w trzecim roku życia wie, co to jest radio i traktor. To pokolenie ma inne, znacznie szersze wymagania. Wy, przyszli uczeni, będziecie musieli je zaspokoić.

Weźmy dla przykładu rzecz najważniejszą: życie i zdrowie człowieka. Pomoc lekarska, bezpłatne polikliniki, kliniki położnicze, poradnie dziecięce, żłobki, domy wypożyczkowe — wszystko to stworzono u nas po to, aby przedłużyć życie. Są to osiągnięcia waszych ojców i dziadków. Przed wami stoją bardziej skomplikowane zadania — zlikwidować choroby zakaźne, zbadać i jak najdalej odsunąć od człowieka wstrętne choroby, które na imię starość — przedłużyć przeciętny wiek życia ludzkiego do 100—150 lat.

W starych bajkach uważano policzenie wszystkich gwiazd na niebie za rzecz niewykonalną. Wiecie, że to już zostało dokonane. Wszystkie gwiazdy widzialne są policzone i wpisane do katalogu razem z setkami tysięcy gwiazd niewidzialnych gołym okiem. Wielcy ludzie przeszłości odkryli prawa mechaniki niebieskiej, stworzyli astrofizykę — naukę o stanie fizycznym i chemicznym składzie ciał niebieskich. Wlecieć z Ziemi pod obłoki moim rówieśnikom nie udało się. Wam w udziale przypadły podróże na Księżyc, planety, a kiedyś nawet i do odległych gwiazd.

Człowiek ujarzmił żywioł wody rzek. Jeden skromny dyspecer kieruje ich kapryśnym nurtem, rozdziela wody dla elektrowni wodnych, zapór wodnych, nawadniania pól, dla potrzeb przemysłu.

Istnieją jeszcze nieokreślone żywioły, jak ciepło słoneczne, wiatr, przypływy, wulkany. Zbadać je, oddać w służbę człowiekowi, Ojczyźnie, nauczyć się kierować wszystkimi zjawiskami przyrody — oto wasze zadania.

Uczeni poznali tajemnicę atomu, zanim wy uczyniliście pierwsze kroki w dziedzinie nauki. Bez waszego udziału odkryto energię atomową i zbudowano pierwszą na świecie przemysłową elektrownię o napędzie atomowym. Są to dopiero pierwsze kroki. Zbudowanie dzielnic atomowych i setek takich elektrowni, okrętów o trakcji atomowej, parowozów, samochodów, fabryk chemiczno-atomowych, atomowych akumulatorów, samolotów, silników dla statków międzyplanetarnych — oto wasze zadania. Przed wami i waszymi uczniami stoi zadanie stworzenia takich warunków w technice, kiedy energia będzie tania i dostępna jak powietrze.

Wyliczanie to można przedłużać w nieskończoność. Nie jestem w stanie opowiedzieć o wszystkich dziedzinach nauki, o wszystkich jej możliwościach i perspektywach. Niech zrobią to za mnie wasi profesorowie. Powiem krótko: nauka podnosi się na coraz wyższy szczebel, horyzont ludzi coraz bardziej się rozszerza, rosną ich potrzeby i to, co jeszcze wczoraj wydawało się cudem techniki, dziś staje się rzeczą powszednią.

Możliwe, że niektórzy z was zartują się i powiedzą: „Wybaczenie, ale jesteśmy tylko skromnymi ludźmi, przeciętnymi studentami. Dlaczego powierza się nam to, czego nie udało się dokonać geniuszom?”

Ależ, drodzy przyjaciele, kto wam powiedział, że naukę wzbogacają tylko geniusze? Weźcie pierwszą lepszą mapę geograficzną lub geologiczną, nakreślcie na niej marszrutę dziesięciu, dwudziestu lub nawet pięćdziesięciu wielkich podróżników i zobaczcie wtedy, że marszrutę obejmują zaledwie 5 procent terytorium globu ziemskiego. A wszystko pozostałe było zbadane, przestudiowane i utrwalone na mapie przez przeciętnych geologów, geografów — ludzi skromnych, mało znanych. Wkład każdego z nich był niewielki, wszystkich zaś razem — większy niż znakomitości.

A poza tym, jak ujawnia się geniusz? Tylko w uporczywym trudzie. Tylko wtedy, gdy stawia on przed sobą wielkie zadania...

Kilka słów o skromności. Skromność to piękna cecha. Dobrze, jeżeli jesteście skromni w ocenie swej pracy i swych osiągnięć, jeżeli jesteście wymagający względem siebie i drobiazgowi, niezadowoleni z osiągniętych rezultatów. Ale bardzo źle, jeżeli postawicie przed sobą zbyt skromne zadania i „obliczone na siłę” cele. ...Partia i naród dźwignęły was na szczyty nauki, abyście odważyli się na wielkie przedsięwzięcia, abyście — krótko mówiąc — zapewnili naukową bazę komunizmu. Tutaj nie można ograniczyć się do nieistotnych spraw i drobnych uzupełnień. Musicie zawsze widzieć przed sobą wielki cel.

...Ale będziecie musieli uzbroić się w cierpliwość, zabrać się do codziennej żmudnej pracy zbieracza faktów. Bądźcie cierpliwi, wytrwali, doprowadźcie pracę do końca! Nie upadajcie na duchu w razie niepowodzenia! Niepowodzenia są nieuniknione dla badacza szukającego własnej drogi.

Bądźcie wytrwali, uporczywi, ale nie uparci. Nie trzymajcie się kurczowo własnych wniosków. Pamiętajcie, że na świecie jest wiele mądrych ludzi, którzy mogą dostrzec wasze błędy i jeśli słuszność jest po ich stronie, nie wstyďte się przyznać im tego.

Nauka wymaga pryncypialności. Szukajcie prawdy i tylko prawdy. Nie kierujcie się przy argumentach naukowych względami osobistymi, osobistą ambicją, wygodą, przyjacielskimi stosunkami, chyleniem czoła przed autorytetami.

Nastąpi wreszcie dzień, kiedy przedłożycie owoce swych trudów uczonym do oceny. Będzie to uroczysty, wzruszający, bogaty dzień w waszym życiu. Życzę wam, aby był radosny. Niestety, nie u wszystkich i nie zawsze tak bywa. Rzecz w tym, że w nauce podobnie jak i w życiu nowe pojawia się jednocześnie ze starym. Nowe powinno wypierać stare, zwyciężyć je. Odkrycia nie spadają z nieba jak meteory, trafniej można je porównać z drzewem, które wyrasta z cieniutkiego pędu. Oto pojawia się taka roślina — łodyżka i kilka listków, a wokół rozpościera się las starych pojęć jak rozłożyste dęby. Chociaż przegniły one na wskroś, korony ich przesłaniają jeszcze gdzieś gdzieś światło. I roślina o pierwszych dni rozpoczyna walkę.

Co do mnie, niejednokrotnie musiałem toczyć dyskusje z ludźmi, którzy zdawałoby się, równolegle ze mną zmierzali do tego samego celu, ale innymi drogami i już przebyli połowę drogi, pewni, że droga ich jest lepsza, pewniejsza, prostsza. Musiałem także toczyć dyskusje z obrońcami starego — ludźmi leniwymi, nieśmiałymi, wykoślawionymi duchowo, przyzwyczajonymi do my-

ślenia starymi kategoriami, do życia według starych, utartych szlaków, ludźmi, którzy uparcie trwali przy swych zeszlaczonych wykładach i rozdziałach napisanych niegdyś podręczników. Ale najwięcej energii wymagała walka z tymi, przepraszam za wyrażenie, pasożytami nauki, którzy pracują naukowo dla pieniędzy, dla stanowisk i tytułów, i którzy, rzecz jasna, trzymają się starych dróg dlatego, że są wysokie i wydają się mocną oporą, podczas gdy młode roślinki są słabe i nie wiadomo jeszcze, która z nich zostanie dębem.

Zdarza się niekiedy — w historii miało to miejsce niejednokrotnie — że nowe w pierwszym okresie ponosi klęskę. Niech to was nie przeraża, takie porażki są krótkotrwałe. Prawdziwa idea nie może zginąć. Wręcz przeciwnie, w ogniu walki oczyszcza się, nabiera siły.

Wierzę, że w swej pracy nowatorskiej napotkacie mniej przeszkód, aniżeli my napotykalismy w starych czasach. Jednak, aby dźwignąć naukę naprzód, będziecie musieli bezwzględnie przezwyciężyć inercję, a przede wszystkim inercję własnej niewiedzy i pojęć, do których przywykliście. Czeką was trudna walka. Zawczasu przygotowyjcie do niej oręż, potężny oręż umodny — umiejętność patrzenia i gromadzenia faktów bez żadnych uprzedzeń. Uczcie się obserwować życie i przyrodę. Podstawą nauki to zgodna z prawdą ścisła i sprawdzona obserwacja.

Wasze własne obserwacje będą waszą najważniejszą bronią w pojedynkach naukowych. Oczywiście nie należy ograniczać się do własnych spostrzeżeń. Świat jest zbyt wielki. Własnymi oczyma ujrzycie zaledwie znikomą jego część. Dlatego w książkach szukajcie faktów. Zbierajcie je codziennie. Szukajcie ich w starych rękopisach, w współczesnej literaturze zagranicznej. Starajcie się opanować języki obce, aby nauka różnych krajów znajdowała się w kręgu waszego widzenia. Starajcie się zapoznać z naukami pokrewnymi oraz z takimi, które z waszą specjalnością niewiele mają wspólnego, ponieważ w nich znajdziecie mnóstwo faktów. Historia zna wiele wypadków, kiedy wielkich odkryć dokonali ludzie, którzy przeszli z jednej dziedziny nauki do drugiej, zdobywając w ten sposób podwójny zasób wiadomości. I sprawa najważniejsza — studiujcie filozofię marksistowską. Będzie ona w waszym ręku kompasem, który pozwoli obrać właściwy kierunek w każdej dziedzinie nauki, w której będziecie pracowali.

* Fragmenty listu członka Akademii Nauk ZSRR W. Obruczewa do studentów Uniwersytetu im. Łomonosowa („Literaturnaja Gazeta” z 7 maja 1955 r.).

STANISŁAW TURBAŃSKI
V-Przewodniczący RN ZSP

PRZED II ZJAZDEM ZSP

ARTYKUŁ NADESŁANY PRZEZ RADĘ NACZELNĄ ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH

Gdy zapytamy tzw. „szeregowego” studenta co to jest ZSP i jakie są jego cele, charakter, zadania, kierunki pracy, w większości wypadków odpowie niewiele więcej ponad to, że ZSP przyznaje wczasy, rozprowadza bilety do kin i teatrów, że ma coś wspólnego ze stołówkami. W szkołach artystycznych można się spotkać z zdaniem, że ZSP przyznaje stypendia itp.

Stosunek dużej części studentów do Zrzeszenia i jego pracy jest raczej obojętny („ani nas to ziębi ani parzy”), niemają jest takich, którzy ZSP utożsamiają z Komitetem Uczelnianym. Są i tacy, którzy zrażeni bezduśnością i marazmem pokutującym w niektórych ogniwach ZSP — rozgoryczeni tracą wiarę w to, że ZSP może coś zrobić dla studentów.

Dlaczego tak się dzieje, gdzie szukać źródeł tej sytuacji? Dzieje się tak dlatego, że duża część studentów (a przeciętnie ponad 95 proc. z nich to głównie członkowie ZSP), nie czuje się odpowiedzialnym za Zrzeszenie, że niewiele zrobił, aby im pomóc w wyrobieniu poczucia gospodarzy, w szczególności zaniebując pracę w grupach studenckich i z meżami zaufania. Wieloma sprawami w ZSP zajmuje się tylko bardzo wąski krąg ludzi — aktywni ZSP, większość członków nie jest przywiązana do ich omawiania i realizowania, nie zna swej roli i miejsca w tej pracy.

Dla przykładu można podać takie sprawy jak organizowanie życia w domach studenckich, kontrola pracy stołówki, rzucanie życia świetlicowego i wiele innych, wokół których na uczelni biega kilku aktywistów i rzecz jasna nie może im podoląć.

Nie myśli się o tym, jak przyciągnąć do współudziału w ich rozwiązywaniu „szeregowych” studentów, którzy

mogą wnieść wiele świeżości i pomysłów, czego dowodów wiele można by przytoczyć.

Przykładem tego może być chociażby rozwój zespołów satyrycznych w Warszawie, Gdańsku i innych środowiskach, rozwój różnorodnych form turystyki wśród studentów, czy działalność w trudnych warunkach pracującego Klubu Studenckiego w Łodzi.

Począwszy od Rady Naczelnej za mało informujemy członków Zrzeszenia o bieżących zadaniach i problemach pracy Zrzeszenia, o istniejących w niej brakach i osiągnięciach.

By pracę naszą skierować na nowe tory, ożywić i polepszyć trzeba usunąć te jej niedostatki.

Dlatego jednym z podstawowych założeń jakie stawiamy w toku przygotowań do II Krajowego Zjazdu ZSP jest doprowadzić do takiego stanu, żeby wszyscy członkowie poczuili się aktywnymi gospodarzami w organizacji i ugruntować przekonanie, że tylko wspólnym wysiłkiem wiele można zmienić na lepsze w pracy ZSP — w naszym studenckim życiu.

Zadaniem Zjazdu jest podsumować dotychczasową pracę Zrzeszenia — pokazać jego osiągnięcia i braki i konkretnie nakreślić zarówno bieżące, najbliższe nasze zadanie, jak również perspektywę pracy w nowym Planie 5-letnim, by lepiej troszczyć się o sprawę studentów — być lepszym ich wyrazicielem, by lepiej pomagać w rozwiązywaniu trosk i bolączek studentów, organizować ich życie.

Aby te sprawy na Zjeździe rzeczowo omówić, w okresie poprzedzającym Zjazd musimy wspólnie zastanowić się i przedyskutować wiele problemów naszej pracy, szczególnie zaś tych, którymi dotąd zajmowaliśmy się niedostatecznie — niekiedy nie dość wytrwale i skutecznie.

Jakie to są problemy?

Uważamy, że konieczne jest w oparciu o rzeczową znajomość sytuacji i potrzeb studentów, zastano-

wić się i wysunąć wnioski w sprawie dalszego polepszenia warunków bytowych studentów. Dotyczyłoby to w szczególności takich spraw jak np. jakość wyżywienia w stołówkach studenckich, warunki mieszkaniowe studentów, rozwój sieci różnego rodzaju punktów usługowych dla studentów, uregulowania spraw stypendialnych na Akademii Medycznych i w Szkołach Artystycznych, pomocy naukowych dla studentów itp.

Istnieje wiele rezerw i zaniedbań w tym zakresie ze strony odpowiedzialnych władz uczelnianych i państwowych oraz niemało braków i zaniedbań w naszej pracy, które powinniśmy wykrywać i śmiało pokazywać.

Warto zastanowić się nad możliwościami współudziału każdego kolektynu studenckiego, każdego studenta w polepszaniu warunków życia i studiów.

Wydaje się, że w dziedzinie pracy kulturalnej główną uwagę należałoby skierować na wypracowanie i omówienie planu działania zmierzającego do wzrostu poziomu kulturalnego i ożywienia życia umysłowego wśród studentów — rozwijania ich zamiłowań w dziedzinie literatury pięknej, teatru, muzyki, malarstwa i zabezpieczenia możliwości zaspokajania tych zamiłowań. Ze szczególną uwagą naszym zdaniem należałoby się zająć zagadnieniem rozwoju wszechstronnego, bogatego w treści wychowawczego życia kulturalnego i kulturalnego wypoczynku w domach studenckich.

Wiele uwag i wniosków powinno dotyczyć treści i kierunku studenckiego ruchu amatorskiego.

W dyskusji przedjazdowej i na Zjeździe winniśmy również zająć się tymi problemami, które pomijaliśmy w dotychczasowej pracy, a które powinny znajdować się w orbicie zainteresowań i pracy organizacji o funkcjach zawodowych.

Musimy przedyskutować sprawę dyscypliny studiów — ustosunkować się do prowadzonych ostatnio szero- kich dyskusji na ten temat oraz aktualnych zmian wprowadzanych przez resorty.

Drugi podobny problem to sprawy absolwentów, które w zasadzie wypadły z kręgu naszych zainteresowań.

Sprawy przydziałów pracy i zatrudnienia absolwentów pod kątem jak najbardziej celowego wykorzystania ich w gospodarce narodowej, zabezpieczenia, ustawowo zagwarantowanych, odpowiednich warunków pracy i życia, konsekwencji wynikających z nieuregulowania spraw zatrudnienia absolwentów niektórych kierunków studiów, przewlekłego załatwiania sprawy zatrudnienia absolwentów szkół plastycznych winny budzić w nas niepokój i muszą znaleźć konkretne rozwiązanie.

Podobnie sprawa naszego stosunku do AZS — sportowej, autonomicznej organizacji, pomocy i udziału Zrzeszenia w działalności sportowej wymaga poważnego zrewidowania i nadrobienia naszych zaniedbań w tym zakresie.

Dobra okazję do przedyskutowania tych spraw stwarza okres akcji sprawozdawczo-wyborczej. W Zrzeszeniu odbywać się będą dyskusje nad projektem statutu, spotkania z delegatami na Zjazd itd. Będą one tym korzystniejsze, im bardziej bezkompromisowe, szczerze gospodarskie będą nasze dyskusje i im więcej członków ZSP zgłosi swoje postulaty i wnioski do naszej pracy, wskazać nam na bolączki i braki życia studenckiego, a również jego radości.

Uważamy, że wspólnym wysiłkiem instancji, aktywności i wszystkich członków ZSP w okresie przedjazdowym można uzyskać pewne widoczne rezultaty w niektórych zagadnieniach naszej bieżącej pracy.

Istnieją realne możliwości i w związku ze zbliżającym się okresem jesiennie-zimowym konieczność, wiele zmienić na lepsze w życiu mieszkańców DS, stworzyć takie warunki i tak poprowadzić pracę, by zaspokoić różnorodne zainteresowania i pragnienia ich mieszkańców. Chcielibyśmy, by zarówno miłośnicy literatury pięknej jak i miłośnicy muzyki, filmu, malarstwa mieli możliwość zaspokojenia swych zainteresowań, by wiele ciekawych projektów, zapału znalazło warunki do ich wcielenia w życie.

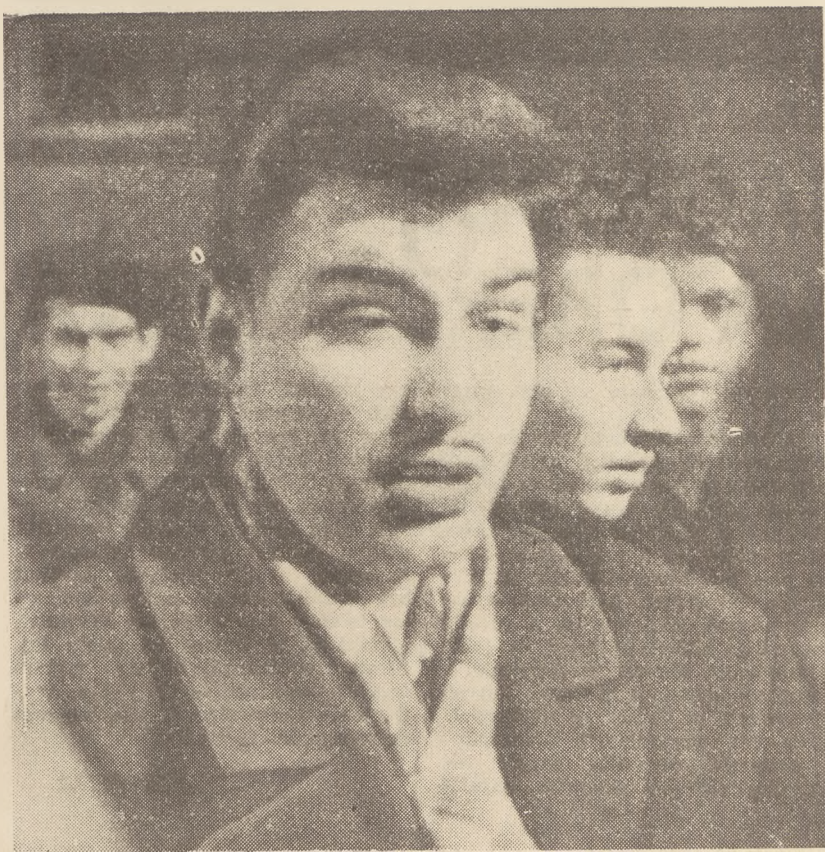
Sądzymy, że wiele można zrobić w zakresie warunków bytowych aktywizując pracę różnego rodzaju Komisji Społecznych (Komisje Zdrowia, Stołówkowe, Komitety Sklepowe) kierowanych przez ZSP, i ulepszać ich współdziałanie z wszystkimi studentami z jednej strony i odpowiednimi komórkami administracyjnymi z drugiej strony. Chodzi o to, byśmy pomogli im w większym wycieczaniu na krzywdę studentów i nieporządku, byśmy pomogli im w pełniejszym wykrywaniu i załatwianiu różnych bolączek życia studenckiego.

Można i trzeba do Zjazdu chociażby rozpocząć systematyczną informację o podstawowych problemach międzynarodowego ruchu studenckiego, sytuacji studentów w innych krajach, działalności Międzynarodowego Związku Studentów. Mogą i powinni w tym okresie (szczególnie Międzynarodowego Tygodnia Studenta — 10—17 listopada) złożyć nam sprawozdania uczestnicy imprez międzynarodowych — nasi profesorowie, i studenci, uczestnicy Festiwalu, konferencji i seminariów międzynarodowych organizowanych przez MZS w ramach działalności wydziałowej, członkowie delegacji na posiedzenia instancji MZS. Niech poinformują nas jak żyje, co myślą, nad czym pracuje młodzież innych krajów, gdzie i prawdziwiej aniżeli zrobili to koleżdy w „Ślaskim Medyku” — którzy Festiwalu sprawozdali do przyjęcia, kawy, ciastek itp. akcesoriów.

Czy dobrze przygotowujemy się do Zjazdu, czy zmienimy w ZSP wiele rzeczy na lepsze (a potrzeba zmienić naprawdę wiele) zależy od wszystkich studentów, wszystkich członków ZSP, od ich aktywności i pomocy dla wszystkich instancji i całego aktywnego ZSP.

Pomocne będą zarówno bezpośredni udział w pracy każdego z nas, jak też udział w wielu dyskusjach, w których przed Zjazdem krytycznie oceniamy będziemy naszą pracę. Pomogą nam w rozwinięciu pracy i dyskusji przedjazdowej, w ulepszeniu całej naszej działalności większe zainteresowanie tymi sprawami, lepsza opieka i kierownictwo ze strony organizacji partyjnych i ZMP-owskich, większa pomoc i lepsza współpraca z władzami uczelnianymi, których mamy pełne prawo oczekiwać i domagać się.

Byłbym adonolony jeśliby moja wypowiedź mogła pomóc w rozbudzeniu pracy i dyskusji przedjazdowej. Dobrze byłoby gdyby czytelnicy zechcieli podzielić się na łamach PO PROSTU swoimi uwagami o dotychczasowej i przyszłej pracy ZSP.



POD KINEM

nej solidarności dochodzi do wyzwolenia potężnych emocji — o napięciu niekiedy wręcz ekstatycznym. A dzieje się to przecież w aurze alkoholu, podniecenia seksualnego z towarzyszeniem „bechowego dźwięku” — to wszystko bardzo jest „filmowe”, obrzydlawe, ale na pewno nie nudne.

Oczywiście ekstaza chuligańska nie trwa bez przerwy. Paczki wystające nieraz godzinami na rogach ulic właściwie prawie się nudzą. Ale tych chłopców łączy wspomnienie byłych ekstaz i nadzieja na przyszłość. Co im możemy proponować za rezygnację? Wróć do tego pytania.

„KNOTY”

Przechodząc do problematyki erotycznej trzeba zaznaczyć, że właściwie trudno tu nawet użyć słowa „erotyka”. W rozwiniętej paczce na erotykę nie ma po prostu miejsca. Są za to „knoty” tj. zabiegi seksualne o charakterze dorównania i przelotnym. Charakterystyczne, że kilku-nastoosobowe paczki wciągające wieczorem mają w swojej eskorcie dwie — trzy „Cynie”. Chuliganie cenią sobie stosunki o charakterze orgiastycznym, o symptomatach zbiorowego gwałtu (symbolicznego lub bardziej rzeczywistego). W stosunkach indywidualnych chuligan zabiega przede wszystkim o partnerkę elegancją ubraną („laleczka”). Stosunek do dziewcząt jest skrajnie pogardliwy. Nie spotyka się tu rycerskości chłopców „z dobrego domu”, kameraderii bikiniarzy czy choćby spotykane w przedwojennych klanach złodziejskich kultu „Czarnych Maniek” czy „Czarnych Zosiek”. Zresztą, być może, na tym odcinku moje wiadomości są zbyt powierzchowne.

W ogóle zastrzegam się, że powyższe impresje są wyniocone i jednostronne. Nie znam np. prawie wcale paczek rekrutujących się z młodzieży pochodzenia wiejskiego (choć robotnicze, Nowa Huta). Wspominałem już, że brak mi szczegółowych danych odnośnie zagadnienia przestępczości. Zdecydował o tym m. in. charakter moich kontaktów i zainteresowań.

Rozwinięte, kryminalne formy chuliganstwa interesują mnie przede wszystkim jako jaskrawe, kliniczny obraz schorzenia nieziemnie rozpowszechnionego, którego łagodniejsze postacie można by nazwać „chuliganizacją zacząłkową”.

Stawiam tezę, że owa „chuliganizacja” jest znacznie szkodliwsza społecznie od chuliganstwa rozwiniętego. Tezę tę spróbuję zilustrować.

MŁODZIEŻ CHULIGANIZUJĄCA

Ba — łatwo mówić o prawdziwych chuliganach, ci mają wyraziste formy współzycia, działają w zwartych grupach, zwracają uwagę swoją egzotyką.

Ala jak opisać kontury smutnej młodzieżowej sytuacji, tam gdzie są one płynne, nieuchwytnie.

A przecież możemy się domyślać, że mamy w naszych szkołach i fabrykach setki tysięcy (co najmniej) chuliganów zarodkowych, oprócz dziesiątków tysięcy (co najmniej) chuliganów rzeczywistych. W tych warunkach wszelkie próby klasyfikacji łączą się z wielkim ryzykiem. Mimo to spróbujemy.

Na początek stwórzmy pomocniczy termin, który zastąpiłby rozróżnienie i wieloznaczny zwrot „chuligan potencjalny”. Proponuję — kontynuując zamilowanie do używania słów z żargonu — termin „wdechowiec” utworzony od słowa „wdech”. Oznacza on młodego człowieka, obdarzonego zespołem cech pozytywnych z punktu widzenia ideałów osobowościowych „tej naszej dzisiejszej młodzieży”, a bynajmniej nieidealny z punktu widzenia szkoły, rodziny, państwa, socjalizmu. Definicja taka jest oczywiście zupełnie czcza dopóki nie wspieramy jej opisem wdechowa. (Ze względów technicznych słowa tego używać będziemy w dalszym ciągu już bez cudzysłowu). Spróbujemy więc opisać młodzież wdechową w jej zainteresowaniach i postawach — zrazu ogólnikowo i z pozycji starej ciotki.

Młodzież ta jest bezideowa, nie ma żadnych zainteresowań, nie uznaje żadnych autorytetów. Nie ma dla niej nic świętego. Nie szanuje starszych, rodziców i nauczycieli. Jest przy tym niemoralna a zwłaszcza rozwydrzona seksualnie.

Pożyteczne dla naszych celów wydaje mi się porównanie młodzieży wdechowej z chuligańską. Wdechowiec żywa również w paczkach, trochę podobnie rekrutowanych jak

chuligańskie. Są one zwykle bez porównania bardziej sympie, luzne i nie tak liczebne (kukuosobowe), a w każdym razie nigdy nie mają feudalnej struktury. Od chuligańskich różni je często obecność dziewcząt, wyrównany stosunek liczbowy obu płci. Dziewczyna traktowana jest jako plus minus równorzędny członek paczki. W zasadzie wdechowiec spędza na łonie paczki mniej czasu niż chuligan, w ogóle jest mniej wyosobniony i bez porównania mniej wykojełony społecznie. Miejscem spotkań są tu niekiedy niekiedy rogi ulic czy ruiny, często po prostu mieszkania prywatne (słynna instytucja przytułki) stadiony, szkoła, park, kino itp.

Grupa może nie mieć przywódcy, albo mieć kilku przywódców-wodzirejów, mogą to być zarówno chłopcy, jak i dziewczyny.

Paczki wdechowców mogą ze sobą rywalizować i mieć zatargi, ale „święte wojny” chuligańskie tu nie występują. Wdechowiec gardzi społeczeństwem „dretwiałków”, ale go nie nienawidzi. W stosunku do chuliganów od czasu do czasu odczuwa podziw, ale nie nakładzie ich zbyt gorliwie. Chuligan dla niego to „wariat”. Słowo „wariat” ze specjalnym akcentem zaczyna być obecnie używane w znaczeniu łagodnie-nagannym z nutką podziwu.

Ten Frank to wariat — w ustach wdechowej dziewczyny znaczy, że Frank przesadza w ekstrawagancjach, ale jest mu z tym trochę o twarzy. Znam bardzo wielu młodych ludzi, dla których słowo chuligan ma spory urok, a w każdym razie nie budzi odrzuty. Co ich powstrzymuje w takim razie od chuliganstwa? — Jedną są zbyt rozsądni, chcą skończyć z dobrą notą szkołę, dostać się na uczelnię, mają absorbujące zainteresowania. Innym przeszkadza rygor domowy, wychowanie, jeszcze innych peszy po prostu twarde chuligańskie życie, są za słabi, za delikatni.

Zresztą granica między wdechowością a chuliganstwem nie jest ostra, a do jej przekroczenia wystarczy często rozluźnienie hamulców, (śmierć ojca czy matki, rozkład pozycja małżeńskiego rodziców, awans na bardziej absorbujące stanowisko).

Tak więc widzimy, że wdechowiec — podobnie jak wymierający bikiniarz (dział, bażant) może być potrosze rozpatrywany jako chuligan oswojony, kompik m i s o w y, dopasowany do społeczeństwa. Takie określenie tłumaczy nam wiele. Między innymi możemy w tym ujęciu traktować inwentarz kulturowy paczek wdechowych jako wersję inwentarza kulturowego paczek chuligańskich, wersję przykrojoną do „skromniejszych” potrzeb. Abstrahuje przy tym w tej chwili od tego, czy takie zapożyczenie ma faktycznie miejsce, choć w kilku wypadkach udało mi się je wyraźnie stwierdzić.

Wdechowiec paczki nie kulturuje mordobicia, rzadko uprawiając kradzieże i akty wandalistyczne, mniejszą w nich rolę odgrywa alkohol, stosunkowo dyskretnie lansując wzór elegancji. Natomiast w dziedzinach bardziej „kameralnych” gdzie zacieranie z konwencji nie grozi katastrofą np. w zakresie żargonu, muzyki, tańca, pieśni i filmu, sportu i miłości, poglądy i „zagrania” są mniej stonowane. Może nie ma sensu systematycznie omawiać poszczególnych dziedzin wdechowego folkloru, zwłaszcza, że ma on wiele niuansów i odmian. Chciałbym tylko zająć się na moment trzema sprawami potrosze powiazanymi, mianowicie: fascynem miłości, gwara i etyka wdechowców.

Oślawione rozwroderne seksualne wdechowców przybiera formy kontrastowe różne od chuligańskiego stylu „knotów”. Przede wszystkim uderza wspomniana już równorzędność płci (wyjątkowo nawet swoisty „matriarchat”, przewaga znaczenia dziewczyn). Stosunki typu zbiorowego gwałtu (czy w ogóle stosunki zbiorowe) tzw. „sztafeta” bodajże nie występują. Zdarzają się natomiast sporadyczne imprezy orgiastyczne. Jednak regułą w erotyce są stosunki indywidualne i odosobnio-

ne, tyle, że przy dość częstych zmianach partnerów.

Wspieram iakmusowy wdechowego fasonu seksualnego jest chyba sprawą tzw. prostytucji szkolnej. Jest publiczną tajemnicą — bardzo przesadnie zresztą rodmuchiwana — że w niejednej klasie mają miejsce stosunki seksualne (czy też różnego rodzaju wspólne zabawy) uprawiane za pieniądze. W rachubę wchodzi przy tym suma śmiesznie niskie (np. 5 zł). Symptomatyczne, że w niektórych kręgach płaci... dziewczyna.

W ogóle w sprawach erotycznych obwołuje sportowa nonszalancja, tępiąca jest wszelką czułość i liryzm. W ramach tej konwencji potrafią się zmieścić bardzo różnorodne formy aż do bardzo trwałych i na swój sposób głębokich związków. Dość często przy tym związki te rozwijają się z kontaktów przy-padkowych i przelotnych.

„WSZYSTKO LIPA”

Język wdechowców, zwłaszcza żargon szkolny stolicy, czerpie pełnymi garściami z gwary chuligańskiej. Ceniona jest lapidarność, powściągnięty emocjonalny, panuje moda na parodiowanie gazetowych zwrotów. Terminy fachowe i obce wy-mawia się często z charakterystycznym przekąsem.

Jeśli chodzi o etykę i osobowościowe ideały tych kręgów młodzieży uderza wielkie rozpowszechnienie swoistej dwulicowości. Termin ten nie zawsze oddaje istotę zjawiska; postaram się to omówić bliżej. W przeciwieństwie do chuligana — człowieka żyjącego chwilą — wdechowiec widzi swoje miejsce w społeczeństwie, planuje swoją przyszłość. Są to plany często bardzo konkretne, dotyczą studiów, zawodu, stanowiska, sytuacji rodzinnej, mieszkaniowej itp. itp.

Otóż wdechowiec jako człowiek rozsądny, nie „wariat” tak sobie układa życie, żeby tym planom nie szkodzić. Instytucje, które zastrzegają sobie prawo przekształcania go (szkoła, rodzina, organizacja...) traktuje jako uzurpatorów. Ewentualne sprzeczności między ich interesami wlot wygrywa na swoją korzyść. Wdechowiec walczy metodą unik, uchyla się gdzie może od nakładanych obowiązków. Gdzie może bez ryzyka wziąć ironiczny odwet. Nie odmawia sobie też przyjemności. Przykład: na pewnej produkcyjnej akademii szkolnej, po przeczytaniu nudnawego referatu, zebrał wzięci trzykrotnie okrzyk: „niech żyje!” Trojka wdechowców wniosła ten okrzyk po raz czwarty, zrobili to przy tym z takim ogniem w oczach, z takim zapalem w głosie i przejęciem, że cała publiczność ryknęła śmiechem. Kontest był tego rodzaju, że nie można było chłopców karać za nadgorliwość, zwłaszcza, że ich kpina była niemożliwa do udomkowania.

Nauka traktuje młodzież wdechową jako pańszczyźną, nie przejmując się głębią jej treścią. Jest to po prostu gra, której stawka jest stopień, a wszystkie chwytły są dozwolone. Zawartość podręcznika musi być na pewien czas przetrzecona do głowy. Dla stopnia trzeba w odpowiedniej chwili wykrepić co się spamiętało, zresztą dokonywać brakujące elementy przy pomocy „chwytów światopoglądowych”: próbka: młodzieńki wdechowiec zapytany o nazwę minerału, z którego robi się porcelanę, wykrzyknął coś zaimprovizowanego po czym zaznaczył, że... porcelany nie produkowano się w Polsce sanacyjnej.

Bardziej zaawansowani potrafią z wirtuozerią odgrywać formalistyczne etudy na tematy ideologiczne bez najmniejszego zaangażowania osobowości. Nie chcieliśmy przez to powiedzieć, że młodzież ta jest z gruntu nastawiona antypaństwowo, czy antysocjalistycznie. Przede wszystkim nasza koncepcja wdechowa jest obciążona mankamentami wszystkich konstrukcji teoretycznych. Rzeczywistość nie da się tu włożyć w sztywne robocze pojęcie. Wdechowcem można być w ten lub inny sposób, w mniej-

szym lub większym stopniu. Nawet mój podział na wdechowców i chuliganów sporo ma konwencjonalności. Ale w pewnej fazie dyskusji takie uproszczenia mogą być pożyteczne. Regułą wydaje mi się jednak postawa społeczno-polityczna implikowana nie tyle przez wrogosć (ile raczej) przez bierność i obojętność. Po prostu wdechowiec w ogóle z przejęciem, zasadniczo i dobrowolnie nie rozmawiają na ten temat. Nie ima się ich także aura defilad, przemówień, apelów, oddziaływanie prasy, radia i filmu.

Wszelkie zabiegi wychowawcze realizowane za państwowe pieniądze uważają za dretwą mowę, za propagandę w wąskim i nieprzyjemnym znaczeniu słowa.

Przekonanie to tkwi w nich przy tym tak głęboko, że ilekroć zetkną się z imprezami wykraczającymi poza zwykły repertuar środków dretwej mowy (w ich rozumieniu) traktują takie imprezy jako ciekawe bo... potrosze antypaństwowe.

Jeśli próbować wyciągnąć wdechowców na szczyty, próbować wnieść dyskusję — spotykamy postawę obronną: wietrzą podstęp, stosują unik. Natomiast w rozmowach między wdechowcami na porządku dziennym jest lekceważenie oficjalnej wersji prasowej różnych wydarzeń, złośliwe komentowanie niedociągnięć i błędów, podchwytywanie przeciętne prymitywniejszych propagandystów. Jednakże generalny atak z wrogich pozycji na przykład: oorna kapitulacja — niemal codziennie. Bunt młodych przybiera cza m charakterystyczne formy Weitschme „: „Wszystko lipa, wszystko jest nudne. Wszyscy klamią”.

CO GORSZE?

Obawiam się, że z tego co dotychczas mówiłem o chuliganach i wdechowcach wynikało, że kto nie jest wdechowcem ten jest chuliganem i nie ma w kraju innej młodzieży prócz „tej naszej dzisiejszej”. Czytelnik-reakcjonista cieszył się skrycie, czytelnik postępowy a niecierpliwym zyszał. Oczywiście oprócz „tej naszej dzisiejszej młodzieży” jest u nas dużo naszej dzisiejszej młodzieży bez cudzysłowu, tj. ludzi, dla których a w e r s j a d o s l o g a n o w nie jest osią osobowości, którym awersja ta nie przesłania socjalizmu m, bądź też ludzi uznających inne zasadnicze autorytety i osobowościowe ideały.

Oprawdając kilkaset wycieczek po pewnym muzeum nauczyłem się nawet odróżniać te dwa gatunki. Dzieci do lat 14 np. reagują żywo na wszelką problematykę, są ufne, nie wietrzą podstęp i błąd na każdym kroku. Powyżej 15-17 lat zmienia to się radykalnie. Pojawia się swoista wdechowa nonszalancja, bimbanie, zbliżowana mina. Zainteresować tę młodzież czymkolwiek, od korpacji jak i zdobyć jej zaufanie można dopiero pod warunkiem wielkiego nakładu wysiłku, inteligencji i taktu. Niezmiennie szokujący jest prosty fakt, stwierdzany przez wszystkich ludzi znających się na tej problematyce, z którymi dotychczas rozmawiałem: wdechowego zbliżowania nie spotykamy wcale u młodzieży wiejskiej, małymieścieckowej. Tam jest ufność i spontaniczna ciotność.

Mimo że byłoby przesadnym pesymizmem uważać, że młodzież wdechowa stanowi u nas większość, liczebność jej jest jednak niepokojąca. Mniejsza o złudne statystyki — wiemy, że jest jej bardzo dużo i nie jesteśmy wcale pewni czy nie coraz więcej. Ważna przy tym jest nie tylko liczba, ale poważanie jakim się cieszą wśród kolegów. Przykład:

W jednej ze szkół warszawskich w latach 1952 — 53 rozegrała się swoista walka — bezkrwawa zresztą — o „rząd dusz” między grupką marksistów a kilkoma aktywnymi wdechowcami. Przegrali marksiści.

„Wszyscy od nich wieli, żadna dziewczyna nie chciała z nimi chodzić! Nikt z nimi nie gadał, chyba że na lipę... A nie były to jakieś głupie chłoptki, ani fajłany. Ale wiadomo — ustawiali dretwą mo-

wę... Pod koniec kapnęli się, że to przez wystawkowe zagrania i nawet zaczęli sami c a j m e r y z o w a ć”. (1953 r.)

Podobne przykłady można by przytoczyć z niejednej szkoły. Nie można zamknąć na oczu. W świetle własnych i obcych znanych mi obserwacji nie zauważyłem generalnych zmian po uchwaleniu II Zjazdu ZMP. Stosunek wniosków wdrażających przez wojewódzkie, powiatowe i gminne szczeble. Tam gdzie docierają do młodzieży są przyjmowane niepokojąco często z klasycznych pozycji wdechowych jako zwykła zmiana reguł gry, jako ustępstwo.

Stawiam tezę, że wdechowość jest zjawiskiem wielokroć groźniejszym od chuliganstwa z trzech co najmniej przyczyn, które zaraz pedantycznie wyliczę.

1) Chuliganów jest stosunkowo mało, wdechowców kilkakrotnie więcej;

2) Chuliganów można jako formę ostrą, jaskrawą, często kryminalną zlikwidować — przynajmniej biorąc rzecz teoretycznie — środkami administracyjnymi (milicja, więzienie, domy poprawcze). A za co zamknąć wdechowca (pomijając trudność czysto techniczną)? Jego metoda uników jest tak elastyczna! On gotów wszystkim mówić co tylko potrzeba i prawie wszystko robić. W takiej sytuacji niedejen aktywista wygląda jak nosorożec atakujący szympansa.

3) Chuliganów pleni się przede wszystkim wśród rodzinnych slumsów i — być może — zginie wraz z nimi. Wdechowiec wylegał się masowo wśród nowych bloków socjalistycznych miast (na Mokotowie, Żoliborzu), w świetnie zurbanizowanej Pradze czeskiej. Jest to przewlekła choroba niszcząca organizm w trakcie rozwoju i wzrostu.

Chuliganie rekrutują się w dużej mierze z rodzin rozbitych lub przestępczych, spośród ludzi marginesu społecznego. Wśród aktywów wdechowego spotykamy NIEPOKOJĄCĄ WYSOKI PROCENT POTOMSTWA PRZODOWNIKÓW PRACY, DYKTAJÓRÓW Z AWANSU SPOŁECZNEGO, LUMINARZY ŻYCIA KULTURALNEGO. Szczególnie jaskrawe objawy wdechowości spotykamy w rodzinach wielkich dwulicowych i sztuk. (Gdyby utwór miał ambicję pażkwilu mogłoby tu sygnalizować pakym nazwiskami). Chuliganstwo jako swoista abstrakcyjna zabawa, jako społecznie izolowana sztuka dla sztuki nie wpływa bezpośrednio na życie kraju. Wdechowiec natomiast bynajmniej z wpływu na to życie nie rezygnuje, ma ją plany i ambicje. Segnągą po stypendia, robia karierę, zamrują klasowe stanowiska w naszym życiu. Wdechowiec zresztą jest często świetnym pracownikiem, ale w głębi draży go charakterystyczna wdechowa nierzetelność.

I tu jest — moim zdaniem — diable kopyto: wdechowiec nie czuje się spadkobiercą czegokolwiek, nie czuje się odpowiedzialnym za losy świata (tj. m. in. za losy miasta, dzielnicy, dzielnicy, w której pracuje).

Dyskusja może osadzić, czy nienazbyt górny tu wzięłam ton, czy nie nazbyt „dretwą zasunąłam mowę”.

Problem wdechowej nierzetelności jest — moim zdaniem — problemem wagi kapitalnej i bez jego zgłębienia mowy nie ma o wyjściu z impasu pedagogiki.

Zgodnie z zapowiedzią, w części drugiej będę się starał zanalizować niektóre przyczyny kryzysu instytucji wychowawczych, oraz podam — w formie wniosków do dyskusji — pewne konkretne projekty zmierzające do przełamania tego kryzysu na niektórych przynajmniej odcinkach.

1) Z czasów chuligańskiej sławy Cedet pozostało następujące zawołanie: „Pod Cedetem cała Wola”. Wszyscy krzyczą Coda-Cola!” 2) „Elekawanie” — depianie powolnego przeciwnika. 3) Może uogólniam zbyt lekko... a znane mi fakty, ale to przywilej dyskusyjnego artykułu.

JÓZEF LENART

Zmęczenie

Nieczajew

Siedziałem na sali wśród delegatów.

Konferencja dobiegała końca, wszyscy byliśmy pomoczeni całodziennymi obradami. Powietrze było ciężkie, ten i ów coraz częściej dłońmi ścisnął skronie.

Przewodniczący podsumowywał dyskusję ze swadą, jakby konferencja zaczęła się przed godziną zaledwie. Gdy skończył, rozległy się nad podziw burzliwe oklaski. Delegaci ożyli się.

— Przerwa, przerwa — zawołał ktoś z końca sali.

W prezydium naradzano się. Słów nie było słychać — utonęły w rozgwarze sali — tylko gesty, pochylanie głowy, mimika twarzy i wymieniane spojrzenia.

— Przerwa, przerwa — szemrali delegaci. — Nad czym tak długo się zastanawiają...

Wreszcie wstał przewodniczący konferencji, młody, bardzo wysoki blondynek w zielonej koszuli z czerwonym krawatem, przesunął dłoń po czole, jakby zdejmował zeń setkę niecierpliwych spojrzeń i przekrzy-czał gwar:

— Towarzysze, nie chcemy przedłużać konferencji. Pzystąpimy teraz do zgłaszania kandydatów nowych członków Zarządu Powiatowego...

— Przerwa, przerwa — zasemra-no na sali niesmiało.

Blondynek spytał z głupia frant: — Czy towarzysze chcą, żeby ogłosić przerwę?

— Cóż to, nie wystarczy ci ten szmer na sali? — pomyślałem. — Czemu udajesz głupiasa, czy głuchoniwidomego? — Widzisz przecież, słyszysz...



rys. M. Wiśniewski

Na trybunie stał towarzysz D., członek Prezydium Zarządu Powiatowego, przedmował właśnie nie skończyła. Wygłosiwszy krótki wstęp, począł rekomendować każdego kandydata z osobna. Trwało to długo. Słowa docierały do mnie niewyraźnie, jakby przez mgłę, jakby wypowiadane daleko. Trafiały do świadomości i rozpyływały się, nim zdążyłem uchwycić ich sens i znaczenie. Usiłowałem przypomnieć sobie nazwisko poprzednio rekomen-

I nagle — pojąłem, dlaczego nikt nie sprzeciwił się przewodniczącemu Konferencji, gdy ten, mimo wyraźnego żądania delegatów z sali — nie chciał ogłosić przerwy w obradach.

Byli zmęczeni.

I zrobiło mi się żal tego młodego, wysokiego blondyna w zielonej koszuli z czerwonym krawatem. Żal, że nie umie czytać w ludzkich twarzach.

Potem przyszła wątpliwość: nie u-mie, czy nie chce?

— Zmęczony jestem najwyraźniej — pomyślałem.

Powiodłem oczami po twarzach delegatów. Wpatrywali się w mówiącego, śledzili ruchy jego warg, poobnie jak i ja jeszcze przed chwilą. Oczy nie wyrażały nic, choć pozły świadczyły, że delegaci zmuszają się, by zrozumieć, zapamiętać, myśleć.

Gdy wróciłem do Zarządu Powiatowego, przewodniczący był w swoim pokoju. Nieduży blondyn, krzepki i bar-dzo, zdaje się, młody. Jego szeroka, z lekka mongolska twarz ma w sobie coś dzieciennego — miękkość rysów pozornie tylko nieustalonych.

Siedząc, podał mi rękę: — Chcecie ode mnie coś? — Chęć.

— Bo wiecie — powiedział niecierpliwie — z czasem u mnie...

Spojrzał na zegarek, potem na mnie. Bardzo nie lubię tego gestu: zgina się lewa ręka, palce prawej dłoni ujmując kraniec rękawa od-słaniają krzączkę zegarka. Jest w tym coś z lekceważenia — jakby mówiono mi, nim cokolwiek wy-powiem: „Streszczaj się szary człowieku, mam ważniejsze sprawy niż rozmowa z tobą...”

— A przecież nie wie jeszcze — pomyślałem — z czym do niego przychodzi...

Gdzieś się po tym geście zapodziały ciepłe, przyjazne słowa i zeszytyniały skóre do uśmiechu usta. Chłodno, równie jak on niecierpliwie, poprosiłem go o referat. Chciałem przeczytać przed konferencją.

— Mam tylko jeden egzemplarz — odparł.

— To przeczytam na miejscu, jeśli pozwolić.

Otrzymał referat, chciałem mu zadać jeszcze parę pytań, zrezygnowałem jednak, nagłony jego wzrokiem. Usiadłem przy oknie, przy stoliku, na którym stał ebonitowy aparat radiowy — „Pionier”. Na-stawiałem i po chwili odezwała się

Moskwa. Śpiewał Nieczajew — czysty, miękki, bardzo liryczny tenor. Były w piosence sady kwitnące, słoneczne, jakaś dziewczyna w sukience o barwach nieba i rozkwitłych jabłoni. W pokoju przewodniczącego jakby zapachniało prawdziwym sadem, prawdziwą wiosną. Bo za oknem, tegoroczna wiosna, mimo że to już koniec maja — zimna jest, wietrzna, jesienna — podrzutek nie wiosna.

Zapomniałem się na chwilę, zasłuchany. Gdy Nieczajew skończył piosenkę, powiedziałem:

— Ależ on śpiewa...

Przewodniczący rozmawiał z instruktorem ZW, który wszedł przed chwilą. Nie odpowiedział. Zabrał się do pisania przemówienia na otwarcie konferencji. Zrozumiałem, że przeszkadzam — wróciłem do czytania referatu. W radio cicho grała orkiestra i znów zaśpiewał, niedostrzegalnie włączając swój głos w melodię instrumentów — Nieczajew.

Śluchając, chwylałem fragmenty rozmowy. Przewodniczący podniósł głowę znad biurka i mówił do instruktora:

— Konferencja nasza ma podsumować całoroczny dorobek i wskazać na błędy... Dobrze będzie tak, prawidłowo?

— Dobrze — odparł spokojnie instruktor.

Przewodniczący pisze, instruktor wodzi wzrokiem po ścianie. Potem on podaje propozycję sformułowania, uzgadniają, a z uzgodnień tych rodzą się słowa celne, świeże, własne, oryginalne i bogate w treść.

— Jesteśmy odpowiedzialni... Mając na uwadze ważność naszej konferencji... Z pełną odpowiedzialnością przystępujemy do obrad...

— Bodajby was... — myślę. Mam wielką ochotę wtargnąć się do ich twórczej pracy i wysiłku myśli, ale rezygnuję: jutro konferencja, mają jeszcze dużo roboty. Będę im przeszkadzał tłumaczyć, że nie tak trzeba pisać — że lepiej niegrabnie stylizycznie, ale tak, jak serce czuje, jak domaga się myśli własna i cały ten ogromny wysiłek tysięcy młodych w powiecie włożony w rozwój organizacji, w całoroczną pracę.

Wyświechtany, urzędowy, galowy frazes, wyprany z serdeczności, z wszelkiego życiowego i myślowego bogactwa — musnęło ucho i przeleci bez wrażenia, bez drżenia dotkniętego serca, które w nim nie poznaje nic z siebie.

Obiecałem sobie, że po konferencji wyciągnę ich na rozmowę o tym. Powróciłem do czytania. Ale różne myśli przeszkadzały mi do-kładnie śledzić tok referatu. Myśli, Nieczajew i ta ich rozmowa, w której uzgadniali i tak dostatecznie uzgodnione szablon językowe. W pewnym momencie jednak nie wytrzytrzymałem.

Przewodniczący wskazał na jakiś fragment pisanego przemówienia, instruktor pochylił się. Przewodniczący spytał:

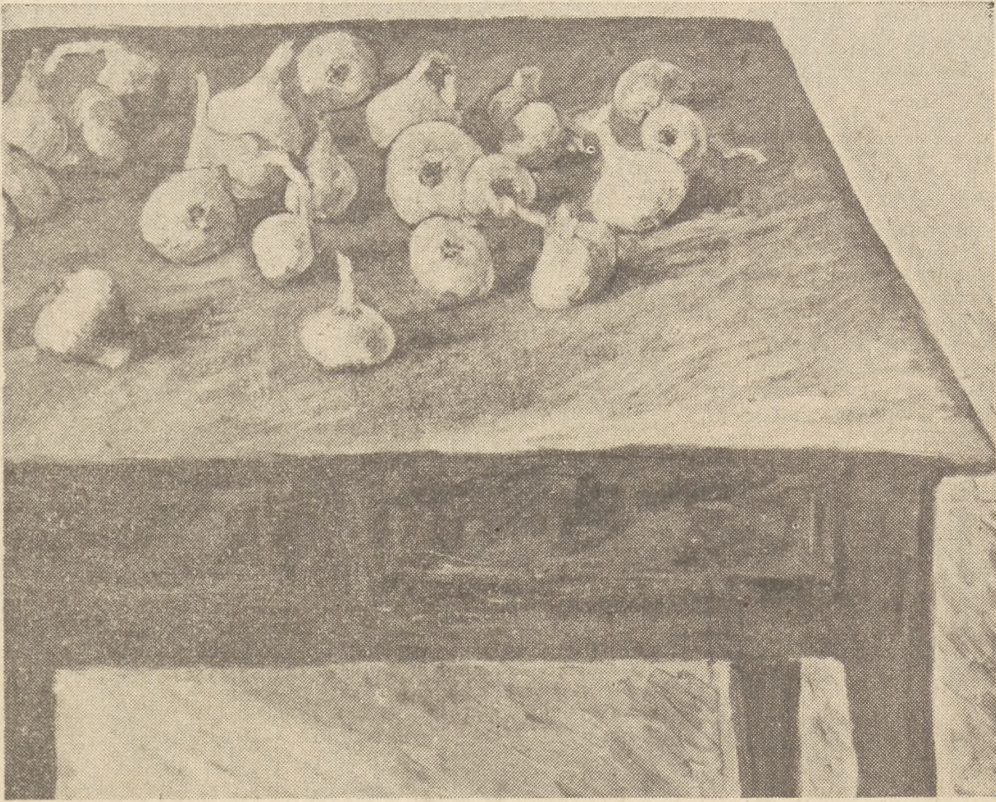
— Tego zagadnienia chyba tuż nie będziemy upolityczniać? Co?

Instruktor odparł poważnie:

— Nie, nie trzeba. Wystarczy.

Wyszedłem z pokoju.

Przez radio z Moskwy cudnie śpiewał Nieczajew. Chciałem wysłuchać do końca i bardzo mi było żal wychodzić.



Cebule — olej

Napiętnowani — olej

Z cyklu: „Nigdy więcej getta” — litografia

Autoportret — olej



CZYTELNICY PROPONUJĄ NAGRODĘ DLA MARKA OBERLÄNDERA

Trzy zamieszczone listy wybraliśmy spośród wielu, które napłynęły do nas po ogłoszeniu listy nagrodzonych na Wystawie Młodej Plastyki w Arsenale. — W sprawie wysuniętych przez naszych korespondentów wniosków wypowiem się w następnym numerze.

Pragnęlibyśmy jeszcze zwrócić uwagę naszych Czytelników na to,

MARK OBERLÄNDER
absolwent ASP
w Warszawie

na którym rozegrała się cała sprawa.

Doskonale zapowiadający się malarz Marek Oberländer, został przez jury potraktowany w sposób lekceważący. Ale nie mniej lekceważąco, choć w inny sposób, potraktowani zostali w s z y s c y młodzi plastycy, biorący udział w Wystawie. Wystarczy porównać wysokość nagród udzielonych, a przede wszystkim wysokość kwot za jakie zakupowano obrazy w Arsenale, z zakupami czynionymi na innych wystawach w Polsce — ogólnopolskich czy okręgowych. „Nagroda” w Arsenale wynosiła mniej niż „wyróżnienie” — czwarty, najniż-

szy stopień nagrody na poprzednich wystawach plastycznych. Zakupy na innych wystawach dokonywane były za sumy wynoszące dziesięć, kilkanaście czy w poszczególnych wypadkach — dwadzieścia pięć tysięcy złotych za jedno płótno. Górna granica zakupu w Arsenale to 3600 złotych. Arsenale był najciekawszą, najwartościowszą ideowo i artystycznie Wystawą plastyczną w Polsce od wielu lat. Słowo „wyróżnienie” jest wytarzonym słowem, ale to b y ł o wydarzenie kulturalne, a nie impreza dobroczynna. A więc?

REDAKCJA

* * *

Drodzy Koledzy!

Do tego wszystkiego, co napisaliśmy o podziale nagród na Wystawie w Arsenale, dodać można niewiele. Chyba to, że należałoby pomyśleć o jakiejś formie rekompensaty dla Oberländera. Rekompensaty moralnie niezbędnej w tym właśnie wypadku. Jeśli na wystawach ogólnopolskich w „Zachęcie” czy na pokazach okręgowych ZPAP pominięto kogoś w nagrodach — sprawa jest

do dyskusji. Ale jeśli w Arsenale wśród czterdziestu jeden nagród równorzędnych — nie znalazła się ani jedna dla Oberländera i jeśli o tym zdecydował brak jednego tylko głosu w jury — to nie można oprzeć się wrażeniu — zdarzyło się coś na pewno niesłusznego.

Formę naprawienia krzywdy decyzyjnej jury pozostawiam pomyślości Redakcji.

J. ZAKRZEWSKI
Warszawa

*

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielką przyjemnością przeczytałem w PO PROSTU (nr 33) artykuł omawiający przyznanie nagród młodym plastynom wystawiającym swe prace w Arsenale. W pełni się pod nim podpisuję. Jestem również zdania, że jury postąpiło — delikatnie mówiąc — lekkomyślnie, pomijając pracę Marka Oberländera. Uważam

jego obraz za jeden z najlepszych na Wystawie. Proponuję, aby redakcja ufundowała dla Marka Oberländera specjalną Nagrodę Czytelników PO PROSTU. Myślę, że tym sposobem można by choć w części naprawić krzywdę, jaką wyrządzono temu zdolnemu artyście.

SŁAWOMIR HABA
Warszawa

*

Droga Redakcjo!

Kiedy przeczytałem listę nagrodzonych prac na Wystawie Młodej Plastyki w Arsenale od razu pomyślałem sobie, że z tą Komisją nagród było coś nie w porządku. Wynik nagród upodobił się bowiem do Loterii Państwowej, w której nigdy nie wiadomo, kto wygra, a kto nie.

Piękne „Cebule” Oberländera nie doczekały się wyróżnienia. Oberländer jest malarzem szczerym i jakkolwiek jego warsztat malarski zdradza jeszcze wiele braków niemniej powinien być dostać nagrodę. Patrząc na „Cebule” nie można w nich było nie dostrzec ładnych zestawień kolorystycznych: najróżnorodniejsze ugrę od szaro-brunatnych do najbardziej złotych. Obraz Oberländera swoją grą kolorystyczną co chwilę odrywa mój wzrok od ponurości wielu innych dzieł.

Jak bardzo mądre wydaje mi się teraz powiedzenie Paula Gauguina, że krytyk patrzący na obraz nie wi-

dzi tego, co pokazuje nam autor, ale patrzy na to, co chciałby sam w obrazie zobaczyć. Jeśli nie lubi niebieskiej tonacji, to wszystkie obrazy na Wystawie w kolorze niebieskim będzie potępiał.

W wypadku Arsenatu Komisja widocznie nie szukała koloru, dlatego żaden obraz Oberländera nie został nagrodzony.

Gusta tych panów były bardzo oryginalne.

Kiedy już najważniejsze pozycje według zdania Komisji zostały wyróżnione, ktoś wpadł na szczęśliwy pomysł, ażeby dalsze nagrody rozdawać na ślepo. Bo nagród miało być aż czterdzieści.

I tu trzeba przyznać, że ta akcja na ślepo wcale nie wypadła najgorzej. Dobre prace też doczekały się nagrody. Szkoda tylko, że wśród nich nie znalazły się „Cebule” Marka Oberländera. Mam o to do Komisji trochę żalu.

JAN SZERSZEŃ
Wrocław

(Dokończenie ze str. 1)

chcemy, by profesorowie jak najczęściej przebywali z młodzieżą, rozmawiali z nią o jej sprawach. Ale wydaje nam się, że nie na tym polega istota pracy wychowawczej kadry naukowców wyższych uczelni. Gdyby aktyw zetempowski poprosił wspomnianego wyżej naukowca, żeby porozmawiał ze studentami o perspektywach astronomii, o swoim dorobku naukowym, o tym co astronomia musi jeszcze zrobić, żeby np. przygotować loty międzyplanetarne — byłaby to na pewno konkretniejsza praca wychowawcza od nawoływań do abstenencji i mycia uszu.

Jednak i nie to jest chyba najważniejsze. Najważniejsza jest sama treść wykładu, ćwiczenia oraz kierunek pracy naukowej — badawczej poszczególnych naukowców, katedr i całej szkoły. Naukowiec wychowuje młodzież przede wszystkim tym, że ukazuje młodym, jak docierać do prawdy obiektywnej na przykładzie swej pracy naukowej, uczy ich ambicji, odwagi i bezkompromisowości w osiąganiu tej prawdy. Wykazuje w jaki sposób dana dyscyplina wiąże się z zadaniami budownictwa socjalistycznego — służy praktyce, jak należy sięgać po trudne tematy i wytrwale pokonywać trudności. To jest chyba głęboki sens kształtowania materialistycznego światopoglądu wśród młodzieży przez kadrę naukową wyższej uczelni.

Ważną cechą specyficzną warunków działania ZMP na wyższej uczelni są zajęcia z tzw. przedmiotów ideologicznych. Ich znaczenie w wychowaniu jest ogromne, podstawowe. Wykład i ćwiczenie z tych przedmiotów atakują bezpo-

II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie (2)

ZAMIAST RECEPTY

rednio idealistyczne poglądy studentów, zmuszają ich do głębszego spojrzenia na siebie, pobudzają do krytycznego i twórczego myślenia, kształtują nowy system pojęć o świecie i roli człowieka w społeczeństwie. Nie będziemy obecnie rozwijać szerzej tej tezy, gdyż w ubiegłym roku akademickim poświęciliśmy jej szereg obszernych artykułów. Chcemy tylko podkreślić, że ZMP o tym zapominać nie może, że aktywiści muszą bacznie śledzić jakie tematy wywołują najżywsze polemiki i przenosić je na teren zebrań grup i kół, a przede wszystkim jak najpełniej uczestniczyć w seminaryjnych dyskusjach.

I jeszcze jedna sprawa. Autorzy niniejszych refleksji również nie tak dawno jeszcze studiowali. I mamy żal do siebie i do organizacji, że pod wielu względami po wyjściu z uczelni byliśmy ślepi. Nie nauczyliśmy się np. rozumienia sztuki, nie wykształcono smaku artystycznego, nie dano klucza do głębokich przeżyć jakie daje koncert symfoniczny czy wystawa malarska.

Takie oto zagadnienia nasuwają nam się przede wszystkim, gdy zastanawiamy się nad pracą ZMP na wyższych uczelniach.

Jak je rozwiązywać w praktyce?

TAJEMNICA POWODZENIA

Na Uniwersytecie Warszawskim działa od kilku miesięcy klub dys-

kusyjny. Nie dają w nim kawy, nie ma orkiestry, a jednak na każde zebranie przychodzi kilkadziesiąt, a czasem kilkaset osób. Tajemnica jego powodzenia jest prosta: odważne i szczerze wystąpienia dyskusyjne, ostra polemika światopoglądowa, nieskrepowana walka ideologiczna. Studenci przychodzą, bo chcą wiedzieć, a nie wierzyć, bo nurtuje ich pytanie „dlaczego”, bo chcą, aby każde twierdzenie było uzasadnione, a nie narzucone.

Tendencje te nie świadczą bynajmniej o tym, że młodzi są nieufni. Wręcz przeciwnie. Chcą tylko stać się świadomymi i obywatelami socjalistycznej ojczyzny. Chcą wiedzieć wszystko do końca, chcą poznać prawdę. Czy można się dziwić pytaniom i wątpliwościom, od których często zależy dalsza życiowa droga młodego człowieka?

Jeżeli mamy wychowywać młodzież, to musimy ją przekonać w a c, zmuszać do myślenia, do obrania słusznego kierunku w życiu. Przekonywać zaś możemy tylko wtedy, kiedy poznamy rzeczywistego człowieka, jego rzeczywiste poglądy i wyobrażenia o świecie, kiedy stworzymy mu warunki szczerzej wymiaru tych poglądów. Wtedy dopiero możemy rozpocząć twórcze burzenie jego wyssanych z mlekiem matki starych pojęć o świecie i człowieku. Wtedy dopiero potrafimy wskazać mu nowe ideały ludzkiego szczęścia. Wtedy dopiero zdo-

łamy zwać nierozdzielnie nasze idee z jego osobistym życiem.

Najogólniej rzecz biorąc, praca studenta polega na poznawaniu problemów, rozwiązywaniu postawionych przed nim zagadnień i naukowym uzasadnianiu swoich rozwiązań.

Warunkiem powodzenia jego pracy jest ciągła konfrontacja teorii z praktyką, która odbywa się przede wszystkim poprzez różnego rodzaju dyskusje. Dyskusje więc stanowią podstawową metodę wychowania studentów. Tymczasem popatrzmy na nasze zebrania i zetempowskie, i kół naukowych. Jak rzadko udaje się na nich dyskusja w pełnym tego słowa znaczeniu.

Przyczyn można doszukiwać się wielu. Najważniejsze z nich to niewłaściwa atmosfera dyskusji. Chodzi o to, że dotychczasowa treść dyskusji już z góry przesądzała brak polemiki i wymiany poglądów, brak osobistego zaangażowania się studenta w przedmiot sporu.

Tematy różnych zebrań zetempowskich i kół naukowych wywoływały w studencie naturalny odruch: „po co zabierać głos, jeśli to co powiem jest wszystkim znane?” albo „po co dyskusja, kiedy jej wynik jest już z góry przesądzony?” albo „gdybyśmy nawet i cały dzień dyskutowali to i tak nic to nam nie da, ponieważ temat jest stary jak świat”.

Dlaczego tak się dzieło?

Bo treść naszych zebrań nie była prawdziwie nowa, drapieżna, problemowa i prawdziwie dyskusyjna — to znaczy wątpliwa w swych wynikach dla uczestników dyskusji. Młodzież chciała walki — walka zaś się nie odbywała. Młodzież chciała zdobywać trudne, żywo ją obchodzące problemy naukowe i polityczne — tymczasem nikt nie stawiał przed nią tych problemów. Nie było atmosfery na uczelni sprzyjającej temu, by wiedzę i oblicze polityczne można było zdobywać drogą rozwiązywania nowych problemów, drogą ścierania się poglądów.

Poznaliśmy niedawno studenta IV roku biologii. Zna on dobrze literaturę fachową i marksistowską. Zna również dużo beletrystyki. Pasjonuje się Chestertonem, Marshailem i innymi pisarzami katolickimi. Interesuje się żywo malarstwem i muzyką. Uwielbia Beethovena, Mozarta i Rachmaninowa. Orientuje się w wielu zagadnieniach astronomii. W swej działalności naukowej ma wiele własnych pomysłów i rozwiązań. Twierdzi np., że między wirusami a genami nie ma żadnej różnicy.

Wiele ma słuszości, a jeszcze więcej nie. Błądzi po bezdrożach idealizmu Sherringtona i Freuda, sensu życia doszukuje się w katolickich dogmatach.

Nasz znajomy prosił o dyskusję nad tymi sprawami w kole naukowym i zetempowskim. Zdecydowanie odmówiono: „to nie miejsce na

omawianie t a k i c h teorii, ko-

lego”.

A przecież zadaniem kadry nauczającej, kół naukowych i organizacji zetempowskiej jest nie tylko udzielenie pomocy w pogłębianiu wiedzy studenta, ale stawianie przed nim nowych problemów, czy nie rozstrzygniętych.

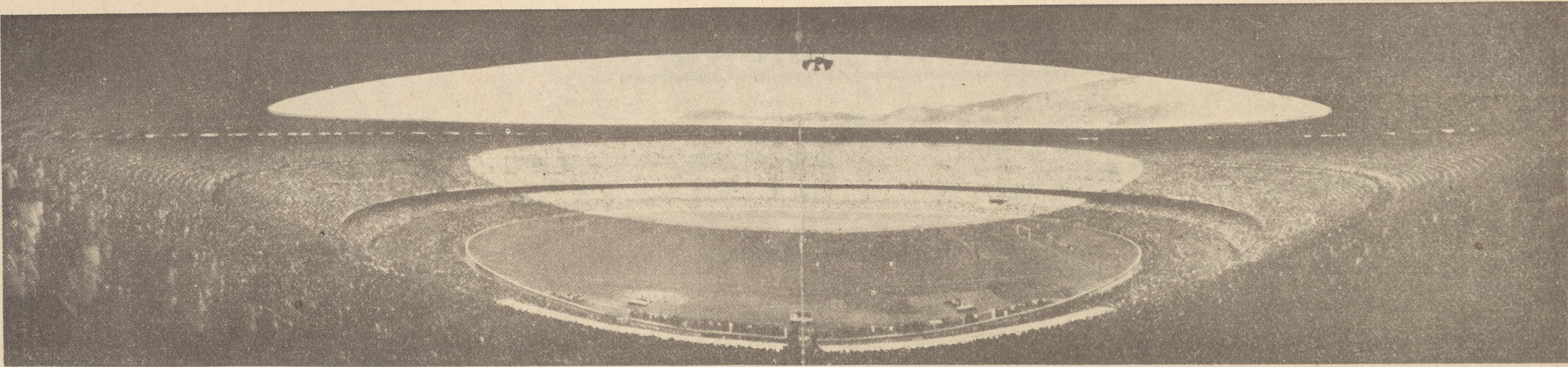
Przecież tematem dyskusji w kółkach zetempowskich muszą być treści wynikające z życia młodego człowieka, z jego rzeczywistych potrzeb i zainteresowań. Muszą to być pytania, które przynosi każdy dzień naszego bogatego życia, które wwołują w młodzieży poważne światopoglądowe wątpliwości i fałszywe odpowiedzi powoduje jakąś zmianę w poglądach, przekonanach człowieka, odbija się w jego postępowaniu. Słowem — kształtuje jego światopogląd.

A więc u podstaw sposobów wychowania człowieka leży dyskusja wyjaśniająca wątpliwe, „drażliwe” problemy decydujące o światopoglądzie studenta.

*

Tych kilka refleksji przedstawiamy Wam jako materiał, który być może będzie pomocny w wyciągnięciu właściwych wniosków do pracy organizacji uczelnianych ZMP. Zdajemy sobie sprawę, że jest to twór niedoskonały, że nie zawiera odpowiedzi na wiele pytań nurtujących aktyw zetempowski. Mamy jednak nadzieję, że stanie on się wstępem do szerszej dyskusji, dla której otwieramy łamy naszego pisma.

ST. CHELSTOWSKI
W. GODEK



Stadion miejski w Rio de Janeiro Architekci: Pedro P. Bernardos Bastos i Antonio Dias Carneiro.

CHCEMY NOWOCZESNEJ ARCHITEKTURY

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE

JERZY
CWIERTNIA

PAŁACE NIESPEŁNIONYCH TĘSKNOT

Dobrze, że nie przypadło mi żyć na przykład w „fin de siècle” — a właśnie dziś! Nie zamieniałbym ani miejsca ani czasu, w którym żyję, na żaden inny chociaż oprócz najpiękniejszych uniesień i zachwytów niesie on wiele gorczy.

Tym głębiej, tym bardziej bolą sprawy, które są sprawami naszej miłości.

Przyszły i z dnia na dzień powstający kształt nowej, budującej się Warszawy jest sprawą niemal że osobistą nie tylko warszawiaka. To co kształtuje nasze życie jest sprawą obchodzącą nas wszystkich. Nie obojętne jest nam jaki będzie trwał kształt, synteza i wyraz naszego życia — architektura stolicy i naszych miast.

Któż nie wypieścił w sobie, nie wymarzył wini przyszłej, nowej Warszawy? Heż przeżyliśmy już konfrontacji owych marzeń z powstałą już realną rzeczywistością!

A różne bywają to konfrontacje: napelniające radosnym spokojem, gdy rzeczywistość przewyższa doskonałością i pięknem marzenia...

gdy odbiega od marzeń, zaskakuje, ale przekona wreszcie prawdą i pięknem. Przyjmujemy ją wtedy jako swoją już, własną — wypiera wizję wymarzoną, która staje się niepotrzebna, obca nawet — tak nie nasza...

Ale bywały konfrontacje, które mogły zrodzić jedynie protest: gdy owa realność staje się nie do przyjęcia... Niestety o tych zawiedzionych marzeniach mówiło się szepem; ujawnić te marzenia — znaczyło znaleźć się za barykadą rewolucji, między wrogami ludu z etykietką kosmopolity. Już o to starali się nasi „teoretycy” realizmu socjalistycznego w architekturze. Gromadziła się więc gorzka niespełnionych nadziei i marzeń...

Nie tak wyobrażałem sobie kształt nowej Warszawy. Wymarzyłem sobie piękniejszą. Wymarzyłem sobie architekturę prostą i jasną jak myśl, prawdziwie nowoczesną, poddyktowaną celowością. Celowością — tworzącą nowe formy, nowe twórcze wartości.

Wyobrażałem sobie architekturę tworzącą i śmiałą, zharmonizowaną z naszym życiem, z naszymi uczuciami — taki kształt, który wynika

z życia i wyraża życie, a nie wyniosłą i sztucznie dumną.

Jakże ciężko nieść przygniatającą piersi kamienną MDM i tęsknotę i zawiedzione marzenia.

Mówili mi: Spójrz — od Warszawy przez Pragę, Bukareszt, Sofię, Moskwę aż hen, gdzieś do Gruzji i Tadżykistanu — klasycyzm. W Warszawie — z renesansem, w Sofii — z jakimś tureckimi ozdóbkami. Zmieniają się tylko ozdóbki.

Czyżby to miał być realizm socjalistyczny? Nie z miłości, nie z myśli jasnej i prawdziwej rodzi się kształt nowej architektury — ale z teorii wydumanej i wydaje mi się bardzo niedorzecznej: pomieszało w straszliwy sposób marksizm, piaskowiec, walkę klas, funkcję, kosmopolityzm, tradycję, socjalizm, treść, formę — w jakiś straszliwy kanon artystyczny.

Osiągnięcia nowoczesnej architektury i urbanistyki Zachodu uznano za w całości nie do przyjęcia — kosmopolityczne. Peret i Corbuser — to kosmopolityzm. Dlaczego więc ów klasycyzm zdobiony renesansem ma być narodowy? Czyżby dlatego, że stary i skostniały już wobec wymagań i charakteru nowoczesnego życia?

Dlaczego uwadze naszych demaskatorów kosmopolityzmu w architekturze wymknęły się: beton, żelazo i szkło... Przecież jest to materiał, który stworzył nowe możliwości użytkowe i plastyczne określone mianem kosmopolityzmu w architekturze. Czy mamy tu do czynienia z brakiem konsekwencji? O nie! Robi się wszystko co można, aby ów podejrany ideologicznie materiał zamaskować i wykluczyć możliwości, jakie daje prawdziwym twórcom-architektom. Kanon klasyczny likwiduje te możliwości aż nazbyt skutecznie.

Prawdziwa architektura jest sztuką pełnokrwistą. Architekturę socjalistyczną wyobrażam sobie jako najpełniejszą, najbardziej wszechstronną ze sztuk: łączącą w sobie istotę rzeźby, malarstwa, poezji, muzyki — mądrą myśl zorganizowaną w przestrzeni — kształt nie wydumany z suchych formuł i kanonów, ale zrodzony z żywego celu, jakiemu ma służyć, z żywych potrzeb człowieka. Nowoczesna architektura socjalistyczna — to nowe twórcze wartości — treściowe i formalne — a nie tępe naśladownictwo

starych form, gwałtem odrywanych od funkcji i treści jakim kiedyś służyły.

Współczesne życie stwarza konieczność nowych, twórczych rozwiązań. Należałoby korzystać ze wszystkich dobrych wartości i osiągnąć współczesnej architektury i urbanistyki Zachodu i pójść dalej drogą, jaką otwiera nowemu życiu najpotężniejsza z rewolucji.

Marzenia! Marzenia! A tymczasem sprzedaje się słońce za kolumny. Zawstydzono się człowieka, zawstydzono się życia, zamaskowano życie granitem, marmurem pałacowo-dostojnie... jakoś straszliwie fałszywie, po mieszczańsku. Wystrojono w korony, attyki, w cylindry mansardowych dachów — w ponurych wyścigach do absurdu.

Niewiele paniegam z Warszawy przedwojennej. Pamiętam Śródmieście — ten jakiś swoisty wdzięk... Uduśiłbym się w tym. Tęsknię za słońcem, za jakąś wielką ludzką prostotą prawdziwie nowoczesnego miasta. Co dzień jadąc pociągiem do Śródmieścia patrzę na Stadion

Dziesięciolecia — pewny jestem, że jest on pierwszym zwiastunem tego, co będzie spełnieniem powszechnych tęsknot za nowoczesnością.

Architektura nasza jest chyba ostatnią ze sztuk, która jeszcze nie wyzwoliła się w praktyce z pęt kanonu. Sprawa architektury wydaje się u nas tak nabrzmiała skandalem, że trudno przypuścić, aby dłużej jeszcze mogła trwać obecna sytuacja.

Niech wreszcie znajdzie prawo i honor śmiała i mądra myśl. Prawdziwy twórczy talent przed ponurym beztalenciem i szermowaniem pustymi słowami.

Niech waży prawdziwie twórcza praca mądrych ludzi i utalentowanych przed równie gromką co fałszywą „rewolucyjnością” pseudo-marksisistów w sprawach sztuki.

Zapekowali oni kawał życia naszego miasta w marmurach i kamieniach, gotowi nadal zdusić życie do wymyślonych kamienno-ozdobnych form. Czas, aby pozostawili plac pod nową twórczą budowę.

JEREMI
STRACHOCKI

AKROPOLIS I ŻYLETKI

Rozczarowania i niepokoję, jakie przeżywa społeczeństwo w związku z tym, co dzieje się we współczesnej architekturze, jest zjawiskiem uzasadnionym. Nie da się ukryć, że twórczość architektoniczna w ostatnich latach nie zadowala. Dlaczego?

Przede wszystkim zdajmy sobie sprawę z rozmiarów klęski, jaka nastąpiła w architekturze ostatnich lat. Zupełnie identycznie jak w ZSRR, tak u nas... „w architekturze, w ciągu szeregu lat powstała grupa stojąca na pozycji estetyzmu i monopolizująca dla siebie kierownictwo spraw architektonicznych. Zajmując wysokie stanowiska w Akademii, w Związku Architektów, w organach zatwierdzających projekty, w dziennej architektonicznej grupie ta ujemnie wpływała na rozwój architektury...”

Zdumiewające, że w tym zdaniu (przytoczonym z przemówienia wygłoszonego na Radzie Budowlanych w Moskwie przez architekta radzieckiego Gradowa), nie trzeba zmienić ani jednego słowa, aby je przystosować ściśle do naszych stosunków, które dopiero niedawno zaczęto krytykować. Do dziś są jednak w stadium realizacji złe projekty i zła architektura jeszcze przez pewien czas będzie powstawała. Po cóż wymienić nazwiska winnych? Społeczeństwo architektoniczne zna je na pamięć, dla pozostałych są pustym dźwiękiem.

Zawinił ciężko, to prawda. Zawinił, bo to, co było w Związku Radzieckim eksperymentem, podali nam za ewangelię. Kazali w to wierzyć tak dalece, że nawet przestawili kierunek nauczania na wydziałach architektury w całym kraju, wypuszczając w latach 1950—1955 pięć roczników dyplomatów z wypaczonego pojęciem o zawodzie.

Cały dorobek cywilizowanego świata istniejącego na zachód od nas przekreślono w ogóle. Wpłynęli mocą swych rzekomych racji na prawie całkowite odcięcie społeczeństwa architektonicznego od możliwości studiowania osiągnięć wielkich architektów całego świata — przez zamknięcie dopływu pism zagranicznych z zakresu architektury i sztuk plastycznych. Bili się bowiem, że społeczeństwo architektoniczne nie potrafi odróżnić tuzinkowej tandety projektowej od wielkich dzieł Pereta, Wrighta, Cor-

busera czy Nerviego. Dzieł wielkich, bo badawczych, eksperymentalnych w celowy i konsekwentny sposób; dzieł, które nawet jeśli czasem mogą być uznane za złe, to nigdy za bezwartościowe.

Społeczeństwu architektonicznemu nałożono fartuszek i śliniaczki, zakazano myśleć samodzielnie, a w przypadkach niesubordynacji surowo karcono.

Biorę do ręki nr 6 miesięcznika „Architektura” z roku 1953. Na stronie 161 u dołu wzrok przykuwa nieduże zdjęcie przedstawiające walcowaty, wielopiętrowy gmach o konstrukcji „żyłkowej”. Zdjęcie przykuwa wzrok, bo budynek jest śmiały, zdecydowany, prosty, połączony, a lekki. Czytamy podpis pod fotografią: „PDT w Poznaniu...” — właściwie można się było domyśleć, że to PDT; forma, światło, skala... z wyglądu budynek jest już sygnalizowany jako typowo handlowy — i czytamy dalej: „... (1948) Inż. arch. M. Leykam. Jaskrawy przykład kosmopolityzmu”.

Czytamy artykuł, w którym zamieszczono zdjęcie — mozę pogląd wyrażony w dopisku ma wewnątrz artykułu jakieś logiczne uzasadnienie? Na próżno szukamy — uzasadnienia nie ma. Wybitnego architekta skarcono tak, jak zły wychowawca karci dziecko — bez podania przyczyny — głupio.

Alle zastanówmy się (zamiast autora notatki) jak z tym jest naprawdę. Kosmopolityzm? Kosmopolityzm, to określenie twórczości, która nie zdradza niczym swego pochodzenia. Obiekty architektury kosmopolitycznej mogłyby powstać równie dobrze w Maroku, we Włoszech, USA, Brazylii, na Grenlandii albo w Chinach. Co decyduje o tym, że architektura jest albo nie jest kosmopolityczna?

Przecież u nas ostatnio lansowane były wpływy architektury klasycznej — do dziś możemy podziwiać w niektórych biurach projektowych wywieszone na ścianach wspaniałe „bryki” porządków klasycznych. Zgodzimy się bez dyskusji, że nie ma architektury, która bardziej od niej odpowiadałaby definicji „kosmopolitycznej”. A jednak nią nie jest, pomimo że dziś jeszcze może jednakowo dobrze powstać we Włostoku, jak w Lizbonie, albo Londynie, Caracas czy Sydney.

No więc? Istnieje coś jeszcze, co wpływa na zaliczenie architektury do rzędu zjawisk kosmopolitycznych. Po prostu — architektura

jest albo dobra, albo zła. Dobra — uwzględniająca wszystkie potrzeby użytkownika, trwała, celowa, wygodna i piękna — zharmonizowana. Zła — to znaczy uwzględniająca głównie interes posiadacza — tandetna, niehigieniczna, brzydka i niewygodna. Drogi rozchodzenia się jej wpływów idą śladem stosunków ekonomicznych, drogami wzrostu kamieniczników oszczędzających na budownictwie, które choć szkaradne i niehigieniczne — będzie rentowne, bo masowe i tanie. Drogi tych wpływów otwiera też małomieszczański brak gustu, brak wrażliwości na piękno, brak zrozumienia potrzeb kulturalnych człowieka.

Jeżeli natomiast architektura tego czy innego stylu jest dobra, staje się wtedy dorobkiem kulturalnym całej ludzkości, i „chociaż” zdobędzie sobie prawo obywatelstwa na całym świecie — tak jak architektura Dorów, Jonów czy Koryntu — to nie jest ona sztuką kosmopolityczną, a internacjonalną.

Czyżbyśmy chcieli tak po prostu porównać ze sobą żyłkowe Leykama ze świątynią Nike Apteros na Ateńskim Akropolu? Naturalnie — tak! Przede wszystkim jednak przyznać się musimy, że nie ja jestem autorem tego porównania. Podał je niezłą już dziś profesor St. Hempel, określając niegdyś wspomniany PDT jako dzieło klasyczne.

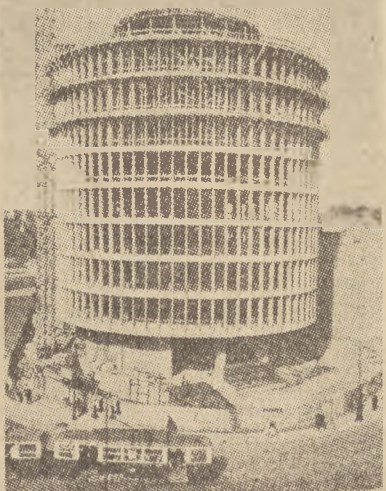
Zastanówmy się, co nas urzeka w architekturze, której przyznaliśmy „Grand Prix” trzydziestu wielokultury ludzkości? Czyżby swój

kapitałny sukces zawdzięczała li tylko finezji detalu, rytmiczności, proporcjonalności bryli i patynie wielków? Nie przyznawajmy się do takiej powierzchowności oceny — musi ona być znacznie głębsza.

Podziwiamy mianowicie to, że starożytni architekci doszli do absolutnej doskonałości zaspokajania współczesnych im funkcji, w swych warunkach klimatycznych, w operowaniu dostępnymi im materiałami i możliwościami technicznymi. Oczarowało nas to harmonijne zespolenie funkcji, konstrukcji, formy i wystroju architektonicznego.

A teraz wróćmy na chwilę do „żyłety”. Musimy się zgodzić, że ten typ architektury jest dopasowany do współczesnych możliwości technicznych, że konstrukcje żyłkowe nie przeszkadzają zamykaniu za nimi współczesnych naszych potrzeb funkcjonalnych, że przy współczesnym poziomie techniki nie stwarzają problemów klimatycznych, że leżą w zakresie ekonomicznego wykorzystania materiałów budowlanych, a w końcu — stwarzają wszelkie warunki po temu, aby je opatrzyć wystrojem architektonicznym w najlepszym stylu. Czy „żyłetka” ma cechy narodowe? Oczywiście — ma. Inaczej wygląda w Brazylii, gdzie jest bardzo głęboka i ostra z uwagi na chęć zacienienia wnętrza w Niemczech ma przekrój bardziej kwadratowy, zaspokajając niemiecką potrzebę tworzenia solidnie wyglądających form, w USA cofa się w głąb, aż za szybko, bo takie jest pojęcie tamtejszych twórców o estetyce.

To, że my nie zawędrowaliśmy daleko na drodze rozwoju tej architektury, nie dyskredytuje kierunku, ale obarcza odpowiedzialnością ludzi, którzy do prób nie dopuścili. Popatrzmy na gmach PIG przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. O



P. D. T. w Poznaniu (1911). Inż. arch. M. Leykam. Jaskrawy przykład kosmopolityzmu

Oto zdjęcie i „ocena” poznańskiego PDT dokonana przez redakcję „Architektury”.

Ostatnie „Problemy” doniosły, że... „w takim budynku będzie się mieścić polski reaktor”. A naszym skromnym zdaniem do tej architektury najlepiej pasuje...

ileż przyjemniej spojrzeć na ten budynek, niż na zabudowę placu Konstytucji! A przecież obiekt ten (inż. Krasowskiego, wykonywany w pracowni inż. Leykama) został wykradziony architektonicznej cenzurze w warunkach uniemożliwiających ściślejsze opracowanie projektu.

Pozwolę sobie zadać pytanie: czy kościół Mariacki w Krakowie uważamy za dorobek kultury narodowej? A kościół św. Katarzyny? Czy przebiteria tych kościołów dadzą się oderwać od pojęcia plastycznego wyrazu „żyłetki”?

Oczywiście, przeciwstawiając architekturze klasycznej „żyłetkę”, nie wyczerpuje kierunków współczesnej architektury. Jasne, że postęp techniczny zna i ceni daleko szerszy wachlarz form; ani warszawski PDT, ani Stadion Dziesięciolecia nie są żyłkowcami, są jednak obiektami architektury współczesnej, której autorzy (Ilnatowicz, Romański — PDT; Hryniewicz, Leykam, Rajewski — Stadion) nie są niewolnikami form klasycznych.

Ośmielam się twierdzić, że obiekty rzędu obu PDT-ów, PIG-u, Stadionu — jednak po trosze legitymują epokę w jakiej powstały, jako epokę walki z małomieszczańskim eklektyzmem, epokę walki o lepsze warunki pracy, epokę postępu technicznego w budownictwie. Posiadają cechy, których brak MDM-om.

Nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga. Otóż moim zdaniem powstało w Warszawie daleko więcej niezłych budynków, niżby to na pierwszy rzut oka można ocenić. Dlaczego trudno to spostrzec? Wydaje mi się, że odciążenie architektów z odpowiedzialności za użytkowanie bu-

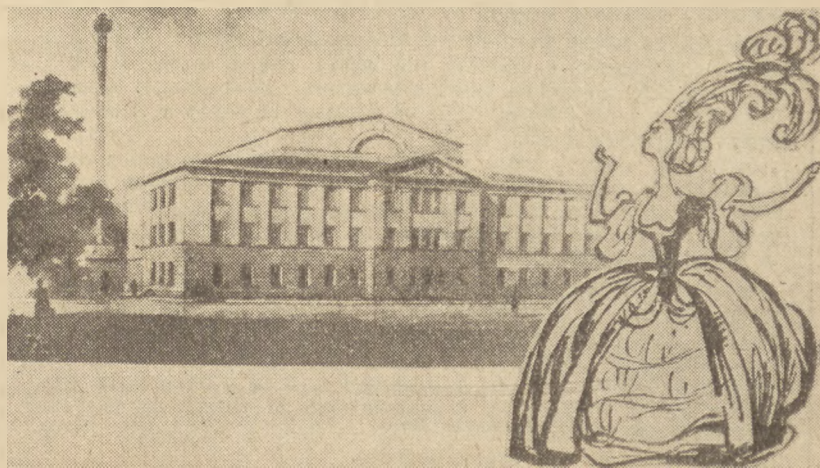
dynku i słabe zainteresowanie urbanistów szczegółami architektury i związanymi z tym wymogami użytkowania — pewna schematyczność pracy urbanistów — przekreślała w znacznym stopniu walory architektoniczne miasta. Spójrzmy, ile jest na Kruczej budynków, które w innym uytuowaniu byłyby zupełnie przyjemne — w ciągu Kruczej są usmiercone przez nerwową nudę ustawienia.

I tu działały złe pojęte idee Akropolis, wspaniałego przykładu swobody ustawienia brył, prawdziwej artystycznej nieładu... Tak, ale od nieładu do bełzadu jest mniej niż jeden krok.

Tak więc kończąc opis architektonicznej klęski zdajemy sobie sprawę z tego, że bardzo wielu czynnych poszukiwaczy wyrazu w architekturze, wartościowych przez swój entuzjizm prawdziwych architektów zostało znużonych mniej lub więcej bezpośrednio do zaprzestania poszukiwań prawdziwej nowej sztuki; że w krytycznym okresie uczelnie w całym kraju wypuścili wielu absolwentów, którym autorytatywnie wpojono jednostronne poglądy na sztukę, że mają oni dziś nie z własnej winy wiele braków do nadrobienia. Ten smutny bilans obarcza uzurpatorów władzy w społeczeństwie architektonicznym. Dobrze, że zdradzają oni chęć do odwrotu.

„Architektura jest nauką, sztuką i mądrością...” mówił prof. Lech Niemojewski.

Alle zepchnięta do rzędu produkcji przemysłowej opartej na zatwierdzonych wzorach — przestaje być sobą.



„Idzie figus Targową ulicą...”

STANISŁAW MANTURZEWSKI

Na początku pokrótce wyjaśnię, jak szkie niniejszy powstał, w których partiach jest świadomie truistyczny, co jest jego ambicją a zwłaszcza co jego ambicją nie jest.

Będzie tu mowa o chuligaństwie, bikiarstwie i różnych mniej wyrazistych a niezmiernie rozpowszechnionych symptomatach coraz żywiej dyskutowanego kryzysu naszej pedagogiki.

Oczywiście krótki ten szkic nie rości sobie pretensji do wyczerpania zagadnienia; proszę nie oczekiwać tu monograficznego ujęcia, wnikliwych analiz socjologicznych. Moje rozważania podporządkowane będą w zasadzie jednemu celowi: próbie uporządkowania tych przyczyn niepowodzeń wychowawczego oddziaływania, które wynikają z nieuwzględnienia swoistych cech „tej naszej dzisiejszej młodzieży”.

Szkic ten jest próbą uogólnienia doraźnych spostrzeżeń poczynionych w toku pracy w szkołach stołecznych, domach

kultury a także w toku towarzyskich kontaktów z młodzieżą chuligańską i „chuliganizującą”.

Próbne dyskusje ostrzegły autora, że artykuł może budzić pewne nieporozumienia, które chciałby uprzedzić. Utało się u nas popularnie uważać za chuligana niemal każdego ucznia bójki, sprawcę aktów wandalistycznych, awanturnika się pijaka itp. Prawnicy bledzą się od dawna nad definicją chuligana, biorą przy tym pod uwagę i rozważają takie kryteria jak: względna „bezinteresowność” przestępstwa chuligańskiego, daleko posunięty stopień wykołowania społecznego — słowem cechy dość płynne i nieokreślone.

W moim artykule chuligan interesuje mnie nie tyle jako potencjalny czy rzeczywisty przestępca ile raczej jako członek grupy złożonej z osobników uważających się za chuliganów i w związku z tym realizujących swoiste ideały osobowościowe, przestrzegających swoistych „reguł etycznych”.



W grupach chuligańskich „uczestniczą” chłopcy w wieku 14 — 22 lat. Można spotkać często chuliganów zupełnie młodych, zwłaszcza w slumsach Targówka, czy Ochoty. Rzadszym zjawiskiem jest chuligan starszy, dorosły — po wojsku.

Jeśli chodzi o skład społeczny chuligańskich „paczek” w ogromnej większości spotykamy tam młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Młodzież z rodzin inteligentnych i drobniomieszczanskich występuje dość często, nie zajmując zresztą szczególnie eksponowanych stanowisk (a nawet cierpiąc nieraz na swoiste inteligentne kompleksy). Stanowiska te zajmuje częściej młodzież z rodzin o tradycyjach przestępczych.

Obecność osobników psychopatycznych nie rzuca się w oczy. Uderza natomiast nieproporcjonalnie wysoki procent sierot, półsierot, dzieci małżeństw rozwiedzionych lub w stanie rozkładu pożycia.

„Paczka” składa się przeciętnie z kilkunastu członków, rzadziej z kilku lub parudziesięciu. Na czele paczki stoi przywódca, odznaczający się zwykle charakterystycznymi cechami, które omówimy poniżej. W ośrodkach rozwiniętego chuligaństwa grupa ma nieraz strukturę niejako feudalną: jądro stanowi kilkunastoosobowa paczka doborłych chuliganów zgrupowanych wokół

osoby przywódcy. Jednocześnie każdy z tych „wasali” ma własną paczkę chuliganów młodszych czy też z jakichś względów bardziej „wysiadkowych”. Na codzień funkcjonują oddzielnie owe paczki mniejsze. Dopiero w razie większych wspólnych akcji następuje pełna mobilizacja i pryncypał dysponuje wtedy imponującą kilkudziesięciosobową grupą (np. słynna bitwa na ul. Żelaznej i Grzybowskiej, bitwa w Domu Studentkim na Grochowie).

Między poszczególnymi bandami brak więzi. Toczy się między nimi wieczna wojna, której nikłe tylko echa dochodzą do sal sądowych i prasy. Bowiem mimo wewnętrznego skłócenia wszystkie bandy są solidarne w jednym punkcie: łączą je wspólna wrogość wobec społeczeństwa i milicji. Chuligańskie rywalizacje i mordobicia są to sprawy wewnętrzne: waga od tego „drętwiakom”.

Powrócę jeszcze do tego problemu przy omawianiu nieskomplikowanej etyki chuligańskiej.

GEOGRAFIA ZJAWISKA

Chuliganie z jednej paczki rekrutują się zwykle spośród młodzieży kilku sąsiadujących ulic, czy dzielnic. Nie wszystkie dzielnice są przy tym jednakowo uprzywilejowane. Saska Kępa czy Żoliborz, te dawne domeny bikiarstka, chuliganów klasycznych nie mają. Targówek, Powiśle, Ochota — dzielnice o starych tradycjach lumpenproletariatu — oczywiście przodują. Paczki z tych dzielnic są uważane za szczególnie doborowe. Natomiast Marja, Wola i pobliskie osady prawobrzeżne, gdzie rozwinęły się szczególnie ostre, często kry-

minałe formy chuligaństwa — ciekawa rzecz — oceniane są przez chuliganów stolicy pejoratywnie (spotkałem się z naganną w intencji nazwą „chuliganie-ludożercy”).

Paczki mają stałe miejsca spotkań na rogach ulic, przed kinami, w ustronnych kątach wśród ruin, w zapuszczonych parkach (przoduje chyba park Krasiński). Niekiedy stają się na jakieś czas modne budynki użyteczności publicznej (np.: Cegielnia, sceny ruchome — „dzie grzeją się zimną początkującą chuliganów”).

Kilka słów na temat geografii chuligaństwa w skali szerszej. Wiemy, że chuliganstwo nie występuje (przynajmniej jako zjawisko masowe) na przykład w Poznaniu czy Bydgoszczy, podczas gdy kwitnie w Łodzi, Zagłębiu, Wrocławiu, Nowej Hucie. Nie zna chuligaństwa Złota Praha ani Budapeszt. Wróć zresztą do tej sprawy w następnym numerze.

Tymczasem, skorośmy już zarysowali zewnętrzny kształt grupy chuligańskiej, spróbujmy pokazać co się w niej dzieje.

CHULIGAŃSKI FASON

Nie trudno wyliczyć składniki inwentarza kulturowego paczek, elementy chuligańskiego folkloru: określony strój i fryzura, gwar, pewien typ muzyki, tańca i pieśni, „miłość”, sport, mordobicie, alkohol — garsteczka reguł swoistej etyki i... chyba kropka. Gdyby rozpatrywać te elementy po kolei i z osobna można by się zdziwić: więc to tylko tyle? I to może być aż tak „atrakcyjnie”?

Spróbujmy jednak zobaczyć jak to wszystko gra, układa się w konstelację, ogniskuje wokół paru sprężonych postulatów...



Zastanówmy się może na początek nad chuligańską elegancją. Gdzieś do roku 1953 terminy „bikiarstka” i „chuligan” w zakresie wzorów elegancji były niemal tożsame. Obowiązywał sztyk amerykański — plece, nalesnik, zamszaki, sing-singi, krawaty „bikini”. Po kilku zmianach mody poprzez „skoki potrójnie szyte” oprychówkę, golfy, fanfana, nastąpił zasadniczy zwrot, powstał styl mniej sztywny, bardziej stonowany — można by zaryzykować — francusko-polski.

Powody? Myślę, że trzy: 1) może podwyszczone ciało na ciuchy, 2) prawdopodobnie urok Gerarda Philipe’a i filmu włosko-francuskiego, 3) na pewno odwołanie do odcinka piętnowania i łepienia bikiarstka. Dotykamy tu mimocho-dem sprawy niezmiernej wagi: stosunku chuliganów do Polski Ludowej. Skwitowanie tego stosunku teminem: „wrogość” jest mało pozytywne. Myślę, że nie da się wytłumaczyć chuligaństwa, bikiarstka itp. wpływem amerykańskiego stylu życia. Taką tezę byłaby powierzchowna, choć niepozbawiona słuszości.

Oddajmy głos mojemu znajomemu chuliganowi:

„Teraz to się bikiarstka i chuliganów miesza... a ja to bym za to w mordę walił!”

Dziś dla chuligana bikiarstka to modniś, maminsynek, „oportunistka”, facet z lokalu II kat. Fakt, że odwrócił nie piętnuje bikiarstka, że odwrócił na bikiarstwo potrosze pozwala, odpycha chuliganów od amerykańizmu i bikiarizowania. Tak to wygląda jak gdyby amerykańskie rekwizyty dlatego głównie były używane, że należały do rekwizytów potępionych.

Bowiem chuliganie kompletuja sobie inwentarz kulturowy z elementów potępionych przez różnego rodzaju autorytety. Gdyby nie było Ameryki, gotowiłoby się na sposób turki, korsarski, złodziejski itp., byle wyrazić, dziwnie i tak jak nie wolno.

Szczyty cynicznej pozy antybikiarstka osiągnęli chyba niedawno: noszą przecież czapki budowniczych Pałacu Kultury (które im się nota bene nie podobają; chuligan niekoniecznie to nosi co mu się podoba, on musi w tym mieć pierwotnie jakąś myśl).



Paczka jest w komplecie. Rozmowa, żarty słowne, bójki „na niby”,

Co pewien czas każdy z chuliganów zerka na wodza. Szuka aprobaty dla swoich „zagrzań”. Owe „zagrzań” czyli różnorodne przejawy aktywności chuligańskiej podporządkowane są zawsze chuligańskiej „etyce”.

Oto jej dwa jedyne przykazania:

Nie daj się zagiąć.

Nie zasuwasz drętwej mowy.

Daleś się pobić, albo przepędzić, zostałeś bezkarnie wysmiany, nie udało ci się zdobyć dziewczyny, ktoś przewyższył cię elegancją, upiłeś się po jednym kieliszku — oto co znaczy „być zagiętym”.

Użył się — bez cynicznej ironii słów: socjalizm, Polska Ludowa, praca dla ojczyzny, miłość, zakochałeś się i nie daleś tego ukryć. Okazałeś współczucie



CHULIGAŃSKA ZABAWA

I powściągnął brutalność, porwał się zachwyty pod wpływem bodźca nieprzewidzianego w chuligańskim repertuarze — oto co znaczy „zasunąć drętwą mowę”.

Kto zagina innych, a nie daje się zagiąć, kto nigdy nie zasunął drętwej mowy, ten jest „w dechu”. Im kto częściej jest zaginany, im częściej zasunął drętwą mowę tym bardziej jest „wysiadkowy”. Oto prosty mechanizm powstawania hierarchii paczki chuligańskiej. Niepisane przykazanie „nie daj się zagiąć” wewnątrz grupy praktykowane jest z pewnym umiarem, panuje tu częściowe zawłaszczenie broni. Natomiast w stosunku do innych paczek i do społeczeństwa drętwiaków jest stosowane z całą bezwzględnością w wersji „nie damy im się zagiąć”. Przykazanie to nasycza swą treścią niemal wszystkie poczynania paczki.

Na tym tle rodzi się solidarność, poświęcenie i ogromne poczucie odpowiedzialności, które trzeba podziwiać gdyby nie było podporządkowane społecznemu wykołowaniu. Chuligan, który pozwolił się zagiąć przez kogoś z zewnątrz, chuligan, który pokpił sprawę w zbiorowym wystąpieniu, stchórzył, nie zmanifestował solidarności — spada automatycznie w hierarchii, przeżywając swoją degradację niezmierne boleśnie.

I odwrotnie, chuligan, który potrafił sprostać sytuacji w zbiorowym wystąpieniu, wznosi się w hierarchii, zdobywa chuligańską sławę.

Każda paczka jest więc niestałą konstelacją, wciąż z dnia na dzień odbywają się tam awanse i degradacje. Chuligan zabiega tym usilniej o uznanie ze strony grupy, że jest to dlań autorytet jedyny.

Paczka ceni sobie swoją chuligańską sławę i stara się na nią zarobić. „Zagieć” jej członka traktuje jako osobistą zniewagę.

Ta strona chuligańskiej działalności, która najbardziej interesuje społeczeństwo — tj. działalność przestępcza — jest, moim zdaniem, integralnym ale nie jedynym, a może nawet nie najistotniejszym elementem chuligańskiego stylu życia. W związku z tym w niniejszym szkicu będę unikał piętnowania zjawiska, będę starał się możliwie beznamietnie kreślić obraz. Co więcej, nie będę stronił od opisu groźnej atrakcyjności i „uroku” chuligaństwa. Nie jestem beśnią: i we mnie budzi grozę wrzucanie ludzi pod pociąg, przypalanie piersi papierosem, nacinanie żyłkami oczu, zapinanie ust na agrafkę. Ale nie zapominajmy, że młodo-ciany chuligan nie zaczyna zwykle chuligańskiej kariery od tego rodzaju czynności.

Moralne oburzenie powinno decydować o wyborze tematu, a następnie można je schować w kieszeń, bo często przeszkadza w obserwacji.

I nie bójmy się mówić o chuligańskich sprawach. Trzeba je wywleć śmiało na światło dzienne. Najgroźniejsze są epidemie chorób „dyskretnych”.

Od niedawna dla podtrzymania ducha u zaginionego towarzysza, chuliganie używają specjalnego zawołania:

„Nie pękaj koleś!”

Podobnym celem służą piosenki wzniciające aurę solidarności. Przykład:

„Wszystko zrobi Murzyn dla Murzyna
dżez bugi-ugi
dżez bugi-ugi
Gdy w tawernie Murzyn się urzywa
dżez bugi-ugi

Nota bene zagieć byle kogo nie przynosi chuliganowi zaszczytu. Płynnie stał oryginalny „humanitaryzm” najbardziej wdechowych, zresztą nie wspólnego nie mający z listochą. Oto próbka:

Chuligan wdaje się w bójkę z niechuliganem, w dodatku dość sia-

Jest to zresztą wypadek raczej odosobniony; zwykle chuligańskie bójki są bardzo brutalne, połączone z łamaniem żeber, kopaniem po głowach, z reguły kończą się „flekowaniem” 2) zwyciężonych.

Trzeba z naciskiem podkreślić, że w paczkach nie tylko siła fizyczna i brutalność mają walory. Na Targówku słynął (zmarły niedawno) członek paczki — garbusek. Był on ulubieńcem swego klanu i nikt w okolicy nie śmiał zaczepić ułomnego kaleki wiedząc, że stoi za nim groźna siła. Garbusek słynął z dowcipu i niezmiernie jednego wysławiania się.

W starciu z „drętwiakiem” chuliganie wykorzystują często swój „humor”. Próbką:

Przed „Polonią” ogonek po bilety. W ogonku — pac za. Jeden chuligan — trochę wstawiony podryzuje dżezow — „idridi — odridi”. Pochochoda do niego milicjant z uwagą. „Co pan się tu cędzie chuligan!” Chuligan czując, że zakłócenie spokoju było niedosć wielkie, żeby milicjant mógł interweniować, zaczął pod jego adresem garść obrazliwych epitetów (wciąż jednak w granicach przyzwoitości). Milicjant odchodzi nie chcąc dla blachy przyczynić narazie na szmatowanie. „Zwyżęcza” rad, że „zagiał drętwiaka” wrócił na chwilę do swojego „odridi”, poprawił charakterystycznym gestem triumfu oprychówkę i rzekł zwracając się do „koleśnow” i widzów: „O uciele, jeżeli tu w ogóle coś zaszło — to — ale — tylko pomyłka”.

Lapidarny język chuliganów składa się — prócz przekleństw — z soczystej mieszanki Wiecha z relikiami żargonu konspiracji i szmuglu. Jako pikantna przyprawa występują w nim parodie wyswiechtujących się zwrotów „oficjalnych”. Próbką:

„Cześć pracy — napijcie się wody!”
„Co mnie agitujesz filmonie, już mnie agitowali!”

W piosenkach chuligańskich dżezowy rytm spotyka się szokujące z folklorem przedmiescia. Pieśni te — improwizowane w czasie zabaw — tematycznie swą krągą oczywiście wokół tego, co się w paczkach dzieje, często brzmi w nich kult chuligańskiej solidarności, no i oczywiście pogarda dla „drętwiaków”. Oto trzy próbki:

„Idzie figus Targową ulicą
Przed nim baba z rzeźnię spódnico
Figusa podnieca
ta rozejęta kieca
bugi-ugi, bugi-ugi, dżez

„Kiedy styczeń dżezu pierwsze trząsł
szuka figusa dla siebie fagaski
tamto jest za blada
tamta znów wysłada
dżez bugi-ugi dżez

Chuligantę są to ludzie „facy”
dżez-bugi-ugi
Mają w dupie dyscyplinę pracy
dżez-bugi-ugi
A Ludowa Władza
Do mima ich usadza
bugi-ugi bugi-ugi dżez!

W związku z różnorodnością elementów kulturowych grupy chuligańskiej, rangę w niej zapewniają jak wspomnieliśmy nie tylko siła i odwaga, ale i takie zalety, jak np.: chuligański dowcip, chuligańska elegancja. Paczki mają swoich tancerzy, śpiewaków, poetów, błaźnów i donżuanów. Bez posiadania pewnego przynajmniej stopnia biegłości w niektórych sztukach wręcz nie można być chuliganem. Np. nie słyszałem jeszcze o chuliganie, który nie umiałby w ogóle tańczyć, śpiewać.

Dwie dotychczas nie omówione dziedziny zainteresowały do sportu i film. Chuliganów i kino łączya rozliczne więzy. Kino to handel biletami. Kino to miejsce spotkań. Poza tym — zwłaszcza zimą — kino to miejsce wstępnych zabiegów seksualnych.

Sport po chuligańsku nie ma nic wspólnego ze sportem w ujęciu socjalistycznym, ani w ujęciu angielskiego gentelmana. To po prostu sucha zaprawa do mordobicia, albo w najlepszym wypadku jeszcze jedno pole, na którym można „zagieć”.

Jeśli chcemy w pełni zrozumieć na czym polega niepojęty „urok” chuligańskiego życia, musimy sobie uprzytomnić, że na kanwie pogardy do „drętwiaków” i kultu wewnętrz-

ROMUALD KŁOSIEWICZ
BŁAGALNICY
drama w jednym akcie z Prologiem i Epilogiem
Osoby: DUCH ZARZĄDU WIELKIEGO — postać fikcyjna
AKTYW — zbiorowa postać tragiczna
SPODEK — przyrząd spirytystyczny
CHOR — ludzie mający coś do powiedzenia
CZŁOWIEK

PROLOG

CHÓR: (wskazując palcem na aktyw)
Oto idą znużeni przez ten świat,
Oto idą męczennicy święci...
Zarządzie Wielki: Gdzieś wsiąki? gdzieś upadli?
Czemu rzucasz rodzone Twoje dzieci?
(bierze się za głowę)
Ze łzami chodzą z kąta w kąt,
Z instrukcjami, z pogadankami...
Tu im wołają: won! tam — won!
Przyjdź, popłacz wspólnie z sierotami!

AKTYW:
Wciąż go wołamy, lecz nie słucha,
A może tak wywołać D u c h a ?

AKT I

AKTYW:
Ruszył się spodeczku! wpraw się w ruch!
Gdy się poruszy — przyjdzie D u c h...
Poda instrukcje, plany pracy,
Bo my bez przerwy watek wciąż tracim!

CHÓR:
To nie wiadomo, jak lepiej będzie:
Czy jak przybędzie, czy n i e przybędzie?
Lecz jeśli watek bez przerwy traca,
To chociaż Duchem z nimi bądź władcą!

SPODEK: (nie rusza się, co znaczy, że Duch się nie zjawia)
AKTYW: (na nutę wspomnień)
Dawniej bywało — dobrze ciężyło,
I choć niekiedy trochę gniótł —
Jeszcze pomyśleć nikt nie zdążył,
A już pomysłów miewał w bród...

SPODEK: (przez cały czas zachowuje tragiczny spokój)
AKTYW: (tergając włosy)
Któż nam pomoże? Któż nam poradzi?
Któż nas za rękę zechce prowadzić?

SPODEK: (nie rusza się, co znaczy, że nie ma chętnych)
AKTYW: (niemal desperacją)
Ten nas napada i ów napada,
Ach, hańba! marazm! biada nam, biada!
Niech się rozlegnie po społeczeństwie:
Nie Z i a z d lecz a k t y w w niebezpieczeństwie!

CHÓR:
Chociaż wołają — nikt ich nie słucha,
Niepotrzebnie się aktyw trudi,
Bo nie znajdzie litości u Ducha,
Kto nie raznał litości u ludzi!

AKTYW: (mimo to)
Czemu więc milczysz? Stronisz od dzieci?
Od swoich dzieci?
(na temat Spodka)
Stoi. Nie leci.

SPODEK:
(zdenerwowany do najwyższego stopnia spada na ziemię i rozbija się na drobne kawałki)

AKTYW: (płaczliwie)
Ach, jeszcze jeden despekt nas spotkał!
Któż nam poradzi, gdy nie ma Spodka?

CHÓR: (furioso)
Patalachy! Zważcie u siebie,
Że według ludzkiego rozkazu,
Kto się ludzi nie radził ni razu,
Niech nie wzywa Ducha w potrzebie!

AKTYW: (stojąc na gruzach Spodka)
Choć dobrze mówisz — lecz czas ucieka!
Kto nam pomoże znaleźć człowieka?
Szukajmy w męce, szukajmy w trudzie,
L u d z i e !!!

CZŁOWIEK:
Czego chcecie, do cholery, spać nie można!

AKTYW: (bierze się za ręce i podskakuje)
Ach, już nie płynię lez naszych rzeka,
Mamy człowieka, mamy człowieka!!

CHÓR:
Mają człowieka, mają człowieka!

EPILOG

AKTYW:
Wszystko ładnie, wszystko pięknie, ale kto zapłaci stołowiec za zbity Spodek? — hę?
(po chwili namysłu)
C z ł o w i e k !!!

rys. Maja Berezowska

Lubiąc wolność, miłości znając dobrze wniki
Na które ona wpędza swoje holdowniki
Umysłem nie kochać aż do życia kresu
Mam ja serce z żelaza lecz... ty masz z magnesu

WACŁAW POTOCKI
(Z „Listu do Irydy“)

WASYL ARDAMACKI
**ŚCIEŻKI
NIEBEZPIECZNE
ŚCIEŻKI**

— Zrozumcie mnie — mój Saniś pisał z frontu, że jesteście razem, a po miesiącu zawiadomił — Okajemow zginął przy odstępowaniu. Więcej listów od niego nie miałam. — Gotowa znowu zacząć płakać, Adalia Piotrowna podniosła do oczu chustkę.

— Wojna, Adalio Piotrowno, wojna... Najlepsi synowie narodu zginęli pierwsi. Z Saniś możecie być dumna. O jego odwadze mówili cały batalion. Kochali go wszyscy, a ci, którzy zostali przy życiu, nigdy nie zapomną...

— Dziękuję, kochany — wykrztusiła przez łzy. — Każde słowo o Saniś jest moją jedyną pociechą. A jak to, że wy...?

— Jak ja zmartwychwstałem? — dopomógł jej Okajemow. — Dostę zwykła historia. Wtedy, w sierpniu, zostałem ciężko ranny. Front przesunął się na wschód. Mnie znaleźli — schowali kolechożnicy. Wykurowali mnie. Potem — oddział partyzancki. Stamtąd — znowu do armii i z nią — na Berlin. A tam, na kolumnie Reichstagu obok mojego nazwiska napisałem też imię waszego Saniś. — Sierżant Aleksander Gurko...

Do oczu Adalii Piotrowny znów napłynęły łzy.

— Nie gniewajcie się na mnie, głupna. Pozwólcie się pocałować — Adalia Piotrowna gwałtownie objęła Okajemowa i pocałowała go w czoło. — Ja przecież myślałam, że tylko ja pamiętam o Saniś...

— Jak wam nie wstyd? — Okajemow dla przyzwoitości zrobił pauzę... No tak... A wście, co ja robię? Piszę książki. Jestem pisarzem.

— Książki? Co mówicie! Jak to...?

— Wojna, Adalio Piotrowno wielu zrobiła pisarzami. Tyleśmy tam przeżyli... Miliard nie można. Naród powinien wiedzieć, ile kosztowało nas to zwycięstwo. Wiedzieć i zawsze o tym pamiętać. A książkę, nad którą zacząłem pracować, chcę poświęcić świetlanej pamięci waszego Saniś.

CENZURA O „MARTWYCH DUSZACH“

Kiedy rękopis pierwszego tomu „Martwych Dusz“ Gogola znalazł się w rękach moskiewskiej cenzury, jej przewodniczący, Giełochwastow, kategorycznie sprzeciwił się opublikowaniu powieści:

— Nie. Nę to nigdy nie pozwolię — oświadczył — dusza jest nieśmiertelna.

Z WATYKAŃSKIEGO ARCHIWUM

W archiwum watykańskim znaleziono przed wojną list króla polskiego, Leszka Białego do papieża Honoriusza III, zawierający prośbę o zwolnienie go od ślubów pielgrzymki do Ziemi Świętej. Leszek Biały przytacza jako powód, że w Palestynie nie ma piwa (cerevisia), a on bez tego trunku obejść się nie może.

KŁOPOT Z NAGRODĄ

Władysław Reymont opowiadał: „Gdy przyznano mi nagrodę Nobla za „Chłopów“, otrzymałem równocześnie tyle podań o wsparcie, pożyczki, zapomogi itp., że gdybym chciał wszystkich załatwić przychylnie, musiałbym mieć sumę trzykrotnie większą od przyznanej nagrody“.

RECENZJA

Londyński krytyk A. P. Walkley napisał kiedyś recenzję tragedii pl. „Straszna noc“, którą stanowiło jedno jedyne słowo: „Rzeczywiście“.

DEDYKACJA

Tomasz Mann podarował kiedyś swemu synowi Klausowi, również pisarzowi, egzemplarz swej „Czarodziejskiej góry“ z dedykacją: „Drogiemu koledze — pełen nadziei ojciec“.

RODOWÓD

Dwóch wysoko urodzonych panów prowadzi z Karolem Dickensem rozmowę na temat ich pochodzenia:

— Mój ról wywodzi się jeszcze z XIII wieku — powiada pierwszy — Mój zaś wywodzi się jeszcze od starożytnych Rzymian — mówi drugi.

— To wszystko nie — odzywa się Dickens. — Ja do dziś płacę jeszcze procenty od pożyczki, którą zaciągnął mój pradziad, gdy z trzema królami wybrał się do Betlejem

FATALNA POMYŁKA

Tomasz Edison, jeden z największych wynalazców, całą swoją wiedzę zawdzięcza wytrwałemu samouctwu. W dzieciństwie uczęszczał do niedzielnej szkoły publicznej, ale tylko przez jeden kwartał, gdyż nauczyciel odprawił go do domu z opinią: „Zanadto głupi, aby można było zatrzymać go w szkole“.

nadesłał Józef Kulaga Rzeszów

Objazdowe kino Pokrzyw

Dziś w programie:

Pięte koło u wozu — symbolizuje stosunek Zarządu Głównego ZMP do prasy młodzieżowej.

Pozycja, w której studenci najchętniej słuchają wykładów profesora... (nazwisko pozostawiamy domyślności czytelników).

Tramwaj, którego wprowadzenie zlikwidowałoby awantury między studentami i konduktorami.

ANEGDOTY • KURIÓZA • DOWCIPY

WARSAWSKIE „ŻYCIE“ z 1887 roku podaje ciekawe dane o twórczości Kraszewskiego:

„W ciągu 58 lat działalności literackiej, Kraszewski wydał 346 dzieł w 600 tomach, zawierających 115.525 stron druku. Do tego doliczyć należy 30.640 stron siedmiu tomów, których Kraszewski nie pisał, lecz je redagował, przepisywał, komentarzami opatrzył lub pracę korektorską nad nimi przeprowadził. Sekretarz pisarza Al. Brzostowski twierdził, że Kraszewski napisał jeszcze 200 000 listów.

Produkcja ta, jako ilość, jest rekordem w dziejach literatury wszechświatowej. Dla porównania parę danych o ilości dzieł najplodniejszych pisarzy świata: Kotzebue napisał 258 dzieł, Scribe — 350 sztuk scenicznych, Al. Dumas 400—500 tomów, Jockay 200 tomów, Wolter 95“.



— Udało mi się stworzyć dzieło, które przetrwa wszystkie etapy.
rys. K. Ferster

Anegdoty • Kurioza • Dowcipy

DEDYKACJA

Tomasz Mann podarował kiedyś swemu synowi Klausowi, również pisarzowi, egzemplarz swej „Czarodziejskiej góry“ z dedykacją: „Drogiemu koledze — pełen nadziei ojciec“.

RODOWÓD

Dwóch wysoko urodzonych panów prowadzi z Karolem Dickensem rozmowę na temat ich pochodzenia:

— Mój ról wywodzi się jeszcze z XIII wieku — powiada pierwszy — Mój zaś wywodzi się jeszcze od starożytnych Rzymian — mówi drugi.

— To wszystko nie — odzywa się Dickens. — Ja do dziś płacę jeszcze procenty od pożyczki, którą zaciągnął mój pradziad, gdy z trzema królami wybrał się do Betlejem

FATALNA POMYŁKA

Tomasz Edison, jeden z największych wynalazców, całą swoją wiedzę zawdzięcza wytrwałemu samouctwu. W dzieciństwie uczęszczał do niedzielnej szkoły publicznej, ale tylko przez jeden kwartał, gdyż nauczyciel odprawił go do domu z opinią: „Zanadto głupi, aby można było zatrzymać go w szkole“.

nadesłał Józef Kulaga
Rzeszów

Objazdowe kino Pokrzyw

Dziś w programie:

Pięte koło u wozu — symbolizuje stosunek Zarządu Głównego ZMP do prasy młodzieżowej.

Pozycja, w której studenci najchętniej słuchają wykładów profesora... (nazwisko pozostawiamy domyślności czytelników).

Tramwaj, którego wprowadzenie zlikwidowałoby awantury między studentami i konduktorami.

ANEGDOTY • KURIÓZA • DOWCIPY

WARSAWSKIE „ŻYCIE“ z 1887 roku podaje ciekawe dane o twórczości Kraszewskiego:

„W ciągu 58 lat działalności literackiej, Kraszewski wydał 346 dzieł w 600 tomach, zawierających 115.525 stron druku. Do tego doliczyć należy 30.640 stron siedmiu tomów, których Kraszewski nie pisał, lecz je redagował, przepisywał, komentarzami opatrzył lub pracę korektorską nad nimi przeprowadził. Sekretarz pisarza Al. Brzostowski twierdził, że Kraszewski napisał jeszcze 200 000 listów.

Produkcja ta, jako ilość, jest rekordem w dziejach literatury wszechświatowej. Dla porównania parę danych o ilości dzieł najplodniejszych pisarzy świata: Kotzebue napisał 258 dzieł, Scribe — 350 sztuk scenicznych, Al. Dumas 400—500 tomów, Jockay 200 tomów, Wolter 95“.